

Cena 20 sant

NASZE

ŻYCIE

Nienawiścią nie można
zajechać daleko; za daleko,
można.

Kazimierz Tetmajer

POLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Rok III

Ryga, 11 kwietnia 1937 r

№ 15 (121)



Syn pustyni

Wiadomości bieżące

— Z Izby Rzemieślniczej. Prezydium Izby Rzemieślniczej uchwaliło zwołać w maju wielki zjazd rzemieślniczy, w którym wzięłyby udział delegacje wszystkich nowoutworzonych związków rzemieślniczych. Jednocześnie postanowiono, majątek zlikwidowanych związków rzemieślniczych przekazać nowoutworzonym organizacjom rzemieślniczym.

— Pierwszy związek rzemieślników w Łatgalii. W poniedziałek został otwarty daugawpilsko-griwski związek rzemieślników. Prezesem związku został obrany Kr. Bankowskis.

— Konferencja dyrektorów szkół technicznych i niższych szkół rzemieślniczych odbyła się ostatnio w Rydze. Na konferencji rozważano możliwości wprowadzenia celowych reform w szkolnictwie zawodowym oraz utworzenia nowego typu szkół zawodowych, któryby zaspokoili potrzeby wsi. Konferencję zagał minister oświaty dr. A. Tentelis.

— Dochody z rolnictwa sięgają 400 milionów latów rocznie. Państwowy urząd statystyczny obliczył, że w roku 1935 dochody z rolnictwa osiągnęły sumę 393 milionów latów. W tym dochód ze sprzedanych produktów rolnych — 177 mil. latów. Największe wpływy w gotówce sięgające 91,2 mil. latów dała hodowla bydła, a w tym na czołowe miejsce wysuwa się mleko (i produkty mleczne) — 47,3 mil. latów, na drugim dopiero miejscu — mięso — 40,4 mil. latów.

— Łotwa szykuje się do wystawy paryskiej. W tegorocznej wystawie światowej w Paryżu bierze udział ponad 50 państw. Państwa Bałtyckie wnoszą na terenie wystawy wspólny pawilon o 4 oddziałach. Każde z państw będzie miało własny lokal, czwarty oddział będzie wspólnym lokalem wypoczynkowym.

— Turniej szachowy został zakończony w ubiegłą niedzielę. Turniej odbywał się w lokalu I. państwowego gimnazjum w Rydze. Właściwie w jego ramach rozegrane zostały 4 turnieje dla poszczególnych klas graczy.

W turnieju o mistrzostwo walczyli

trzej najlepsi gracze Łotwy: Petrow, Apszenieks i Feigin. Mistrzostwo już trzeci rok z kolei wywalczył Petrow.

— Nowoczesne hotele na prowincji. 5 b. m. zamknięty został konkurs na projekty hoteli dla prowincji. Najlepsze prace zostaną nagrodzone premiami pieniężnymi w wysokości 1000, 750 i 500 latów.

— Nowy centralny dworzec w Rydze zostanie wzniesiony w przeciągu 4—5 lat. We środę u ministra komunikacji Einbergsa odbyła się narada w sprawie budowy centralnego dworca w Rydze. Na obradach obecni byli: wicepremier M. Skujenieks, min. oświaty A. Tentelis, min. rol. J. Birznieks, min. spraw społ. A. Berzińš, dowódca armii gen. K. Berkis, gen. M. Hartmanis i inni.

Jak wskazał w swym przemówieniu minister komunikacji przebudowa dworca jest niezbędna zarówno ze względów udogodnienia gospodarki, jak też przez wzgląd na zaspokojenie wymogów podróźnych i podniesienie wyglądu stolicy.

Z powodu wzrostu liczby pasażerów, Dyrekcja Kolei przewiduje zwiększyć ilość pociągów na wszystkich liniach, skracając jednocześnie skład pociągów. Zwiększenie ilości pociągów wymaga usprawnienia dworca.

Nowy gmach stacji ma stanąć obok obecnego. Czas budowy nowego dworca ma trwać od 4 do 5 lat.

— Budowa elektrowni w Kegumsie posuwa się naprzód. 1 maja ma stanąć zupełnie gotowy most przez Daugawę. Z chwilą ukończenia mostu prace będą postępowały w jeszcze żywszym tempie. Obecnie przy budowie jest zatrudnionych 900 robotników, a w maju stanie do pracy około 2000.

— Minister Komunikacji B. Einbergs zaakceptował projekt nabycia „zegarynki“ (automatyczny zegar mówiący), która zostanie zainstalowana na stacji telefonicznej w Rydze. Zegarynka zastąpi kilka telefonistek, które obecnie informują ryżan o dokładnym czasie. Zegarynka ma być uruchomiona jeszcze bieżącego lata.

TYDZIEŃ

— Zmarł książę Liwen. W sobotę 3 b. m. zmarł w Kemerii książę A. P. Liwen, organizator i dowódca oddziału wojskowego, który brał czynny udział w walkach o niepodległość Łotwy.

Nabożeństwa za duszę zmarłego zostały odprawione w kościołach luteranskim i prawosławnym. Przy trumnie zmarłego w Kemerach nabożeństwo odprawił arcybiskup kościoła luterńskiego T. Grinberg. Na nabożeństwie obecny był minister wojny gen. J. Balodis oraz szef sztabu generalnego gen. M. Hartmanis, jak też grono wyższych oficerów. Zwłoki zmarłego zostały przewiezione z Kemerii do Mežotne, gdzie spoczęły na rodzinnym cmentarzu.

— Ekspozyty na wystawę zengalską powinny być zgłoszone do dnia 1 czerwca.

— Już w maju uruchomiona zostanie komunikacja lotnicza do Liepaji. Firma angielska „Harild Land“ w której obstalowane były samoloty komunikacyjne, powiadomiła ministerstwo komunikacji, że z dostarczeniem aparatów spóźni się o kilka dni (termin był oznaczony na 12 b. m.). Mimo to otwarcie komunikacyjnej linii samolotowej Ryga—Liepaja nastąpi jeszcze w maju.

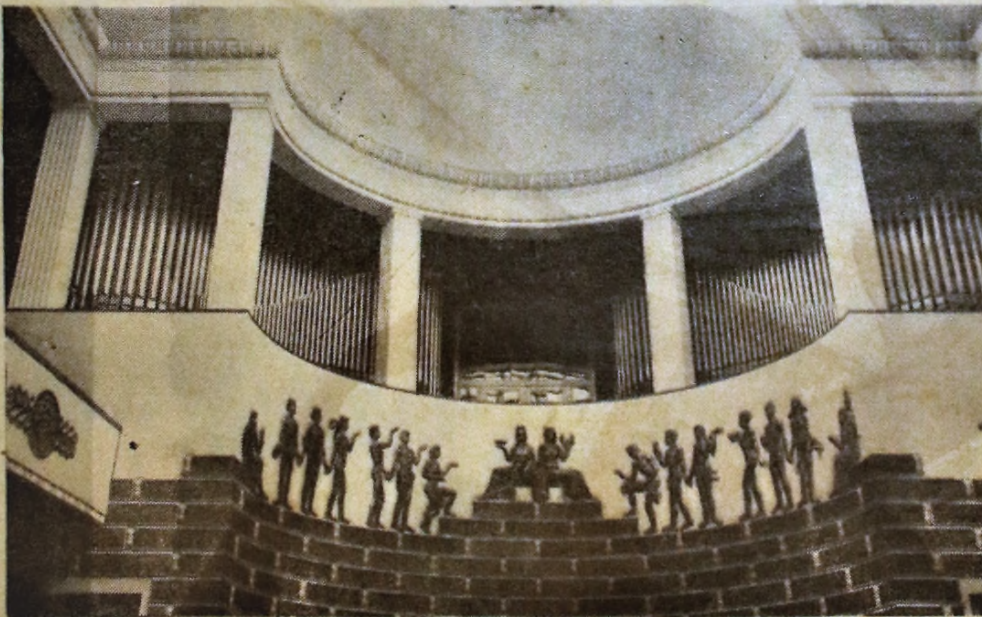
— Wycieczka studentów estońskich w liczbie 100 osób odwiedziła ostatnio Rygę.

— Kamień węgielny pod nowy gmach ministerstwa skarbu zostanie założony w dniu 8 maja.

— Łotewski Bank Kredytowy nabył ostatnio tytuniową fabrykę „M. N. Asimakis“. Fabryka zakupiona została celem sprawdzenia czy wyrobów tytuniowych nie można będzie produkować taniej.

— Las polski tranzytem przez Łotwę. W ministerstwie komunikacji zwołana została konferencja przedstawicieli kolei łotewskich, polskich i estońskich. Na konferencji obok zagadnień taryfowych rozważone zostaną możliwości tranzytu lasu z okręgu wileńskiego przez porty łotewskie zagranicę.

— Mnóstwo łabędzi i gęsi osiadło na jeziorze Liepajskim i Papes. Tak wielkiej ilości dzikich gęsi i łabędzi mieszkańcy nie widzieli od lat. Myśliwi skorzystali z okazji i, mimo że ptaki są niezmiernie ostrożne, udało się im ustrzelić bogatą zdobycz.



ORGAN W NOWEJ AULI UNIwersYTETU
Na zdjęciu obok olbrzymi organ w nowej auli Uniwersytetu Łotewskiego. W tą niedzielę odbędzie się uroczyste poświęcenie nowego organu i pierwszy koncert. Na uroczystości poświęcenia i koncert zaproszeni są: Rząd, przedstawiciele nauki, sztuki i społeczeństwa.

W ŁOTWIE

— Pierwszy poranek Mazpułków w Operze Narodowej. W ubiegłą niedzielę odbył się w Operze Narodowej pierwszy poranek muzyczny Mazpułków. Poranek zaszczylił swą obecnością Naczelny Wódz Mazpułków Prezydent Państwa dr. K. Ulmanis, co nadało porankowi specjalnie uroczysty charakter.

Po części uroczystej, do której zaliczyć należy powitanie Prezydenta Państwa przez zebranych oraz przemówienie prezesa Izby Rolniczej, P. Dzerwe, nastąpiła część koncertowa. Brały w niej udział chóry, orkiestry, kwartety Mazpułków.

— Kongres prawa karnego, który trwał przez trzy dni, został zakończony w ubiegłą niedzielę. W ostatnim dniu Prezydent Państwa dr. K. Ulmanis w towarzystwie min. sprawiedliwości H. Apsitisa i min. spraw społecznych A. Berzińsza przysłuchiwał się obradom.

— Minister spraw zagranicznych o Lidze Narodów. W tygodniu odbyło się walne zebranie Twa Przyjaciół Ligi Narodów na którym obecny był minister spraw zagranicznych W. Munters. Na zebraniu minister wygłosił dłuższe przemówienie, w którym omówił dzisiejszą sytuację Ligi Narodów i jej ogólne znaczenie dla życia i pokoju całego świata. Prasa codzienna zamieściła pełny tekst przemówienia min. W. Muntersa.

Prezydent Państwa na poranku muzycznym Mazpułków w Operze Narodowej. Prezydenta spotykają kierownicy Izby Rolniczej i członkowie organizacji Mazpułków.



— Dziennikarze i pracownicy Radia, referenci ministerstwa spraw społecznych złożyli wizytę ministrowi A. Berzińszowi, który wygłosił krótkie przemówienie. W przemówieniu swym minister podkreślił doniosłe znaczenie prasy w życiu współczesnym i jej olbrzymi wpływ wychowawczy. Na zakończenie minister wyraził życzenie, żeby współpraca prasy z Ministerstwem biegła po dotychczasowej linii, żeby cały swój wysiłek prasa wkładała do wspólnej pracy nad rozbudową państwa.

Nowy poseł łotewski w Sztokholmie. Dotychczasowy p. o. dyrektora Urzędu Statystycznego P. Salnais został mianowany posłem pełnomocnym Łotwy w Sztokholmie na miejsce dotychczasowego posła B. Seji, który został pozostawiony do dyspozycji Ministra Spraw Zagranicznych.

— Minister wojny gen. J. Balodis ostatnio przyjął na audiencji przedstawiciela wojskowego Francji, który doręczył mu w imieniu francuskiego ministra marynarki zbiór materiałów o działalności eskadry francuskiej w 1919 roku na wybrzeżu łotewskim.

— O polityce zagranicznej państw Bałtyckich pisze w obszernym artykule jedno z większych pism francuskich, podkreślając, że państwa Bałtyckie starają się zwiększyć wagę zagranicznej polityki Ententy Bałtyckiej. Największe znaczenie w uaktywnieniu polityki zagranicznej państw Bałtyckich ma uzgodnienie posunięć politycznych członków Ententy. Pismo wskazuje, że w pewnej mierze niepomyślnie wpływa na zwiększenie wagi polityki zagr. państw Bałtyckich nierozstrzygnięty konflikt litewsko-polski.

Dni Krakowa

Powodzenie, jakim się cieszyły zorganizowane po raz pierwszy w 1936 r. „Dni Krakowa” skłoniło Komitet Organizacyjny Imprezy zwanej „Dni Krakowa” do urzędzenia tej imprezy w tym roku na jeszcze większą skalę.

Tegoroczne „Dni Krakowa” odbędą się w czasie od 27 maja do 20 czerwca, a więc w okresie kościelnych uroczystości, jak Procesja Bożego Ciała, i tradycyjnych obchodów, jak „Lajkonik”, „Obiór Króla Kurkowego”, „Wianki” i t. d.

Program „Dni Krakowa” obejmuje obok tradycyjnych uroczystości i koncertów, także teatry i widowiska i wreszcie zabawy ludowe, kiermasze i t. d.

Przewidziane w ramach „Dni Krakowa” obchody tradycyjne nabierają coraz to większego rozgłosu. Odzywają starodawne bogate zwyczaje obchodowe — ilość uczestników obchodów coraz się powiększa.

Program rejonowych widowisk, które cieszą się jak u polskiej tak i zagranicznej publiczności jak największym zainteresowaniem, daje nam w tym roku wielką rewiew pod tytułem: „Lud polski, jego muzyka, tańce i śpiewy” w połączeniu z konkursem tanecznym. Projektowane jest sprowadzenie na ten konkurs uczestników z różnych dzielnic, jak: Podhale, Mazury, Śląsk, Huculszczyzna, Lublin i Wilno. Występy tych grup odbędą się łącznie z imprezami pierwszych 8 dni „Dni Krakowa”.

W dziale koncertowym przewiduje się oprócz projektowanych koncertów zespołów „Związku Chórów i Orkiestr” i pojedynczych artystów — wielkie symfoniczne koncerty słynnej orkiestry Polskiego Radia. Organizowane w czerwcu zeszłego roku koncerty na dziedzińcu Wawelskim były transmitowane w wielu krajach. Ogromna wartość tej produkcji muzycznej, jakoż i ogólne uznanie, które zyskała transmisyja tych koncertów na całym świecie, skłoniło Polskie Radio do nadania podobnych koncertów w ramach „Dni Krakowa”.

Co się tyczy działu teatralnego, to trzeba zaznaczyć, że ten rok zapowiada olbrzymi postęp w tej dziedzinie. Przewiduje się specjalne przedstawienia teatralne z uczestnictwem zespołów Warszawskich. Uroczystości teatralne zostaną rozpoczęte przez Krakowski Teatr Miejski, który przygotowuje specjalny repertuar.

Sport, jak zawsze, wyznaczone ma najważniejsze miejsce w programie „Dni Krakowa”. Przewidziana jest spora ilość najrozmaitszych zawodów, między innymi rozegrany będzie mecz piłkarski między polską i niemiecką drużynami.

„Dni Krakowa” zapowiadają się jako olbrzymie widowisko w dziedzinie muzyki, sztuki, śpiewów i tańców, będąc jednocześnie także i ludową uroczystością z targami, kiermaszem i ulubionym Lunaparkiem

Przyjeżdżający na tę imprezę turyści z zagranicy otrzymują:

- 1) bezpłatną wzię polską,
- 2) 50% zniżkę kolejową na przejazd tam i z powrotem,
- 3) 50% zniżkę przy czterech przejazdach kolejowych w czasie pobytu w Polsce — na dowolne odległości i w dowolnych kierunkach,
- 4) karnet z różnymi zniżkami, między innymi zaś i zniżkę 33% na przejazd kolejką linową Kuźnice — Kasprowy Wierch,
- 5) bezpłatny program „Dni Krakowa”.

Zwracając się do konsulatu polskiego po bezpłatną wzię, należy zażądać w konsulacie albo w biurze podróży — wystawienia karty uczestnictwa. Karty te są również bezpłatne. Po przybyciu do Krakowa należy ostemplować tę kartę w Polskim Związku Turystycznym, za co uiszczają się opłatę 4 złotych.

Po przybyciu do Krakowa nie należy oddawać biletu kolejowego, lecz zatrzymać go. Bilet ten łącznie z ostemplowaną kartą uczestnictwa służy do zupełnie bezpłatnego przejazdu w drodze powrotnej, co w wyniku daje 50%-wą zniżkę, gdyż w drodze do Krakowa opłaca się bilet normalny.

Wyjazd z Polski może nastąpić przez dowolną stację graniczną, nietylko przez stację wjazdu.

Wszystkie ulgi są ważne nawet przy najkrótszym pobycie w Krakowie, lecz tylko po ostemplowaniu karty uczestnictwa.



Zdjęcie z przyjęcia u papieża po ceremonii udekorowania królowej włońskiej orderem Złotej Róży.

Arcybiskup Canterbury ukoronuje Jerzego VI

Już tylko miesiąc dzieli Anglię od chwili gdy wśród uroczystego ceremoniału arcybiskup Canterbury ukoronuje króla Jerzego VI.

Arcybiskup Canterbury... To właśnie jego dostojna osoba będzie osiłą uroczystości, jego stanowisko ma w tej wspaniałej defiladzie tradycji — tradycję najstarszą, najświetniejszą.

Opactwo Canteburskie założone zostało bowiem w roku 597 przez mnicha Austina, wysłanego przez papieża Grzegorza Wielkiego dla chrztu Anglo-Sasów. Od tych zamierzających czasów 97 arcybiskupów zasiadało na tronie prymasowskim, a między nimi trzech kanonizowanych: święty Anselm, święty Dunstan, święty Tomasz Becket.

Tacy są poprzednicy obecnego arcybiskupa Canterbury, wielkiego Cosmo Gordon Langa, prymasa Anglii i najwyższego kierownika kościoła anglikańskiego.

Nie obeznani w obyczajach i tradycjach kościoła anglikańskiego, nie możemy często zrozumieć, jak pierwszorzędną rolę gra w życiu angielskim prymas Canterbury.

Mianowany dożywotnio, otrzymuje wynagrodzenie roczne w sumie 15.000 funtów.

Jego władza nad kościołem anglikańskim jest absolutna, nie podlega ani papieżowi, ani królowi. Dysponuje on bez niczyjej kontroli potężną sumą dwóch miliardów funtów rocznie, płynących z 42 diecezji, nad którymi panuje. Kieruje dwoma tysiącami szkół parafialnych i dysponuje zupełnie samodzielnie szeregiem katedr uniwersyteckich.

Nitk nie może zmusić arcybiskupa do zrzeczenia się swej godności. Tysiącletnia tradycja chce tego, by ani starość, ani choroba, nawet nieuleczalna nie była powodem usunięcia władnego prymasa Anglii z jego stanowiska.

Władza jego sięga zresztą i głęboko w dziedzinę świecką. Podlegają mu tak ważne sprawy, jak oświata, problem plac robotniczych, a nawet pokój światowego. Podczas wojny arcybiskup uregulował sprawę pracy niedzielnej w fabrykach broni. Nie można wreszcie zapomnieć o roli, jaką grał podczas ostatniego kryzysu królewskiego i że jemu właśnie zawdzięcza Anglia, że wyszła z tych ciężkich dni bez skazy na swym autorytecie.

Posiada on władzę nad parafiami anglikańskimi, rozsypanymi po wszystkich koloniach i dominiach brytyjskich, na Nowej Ziemi i w Singapurze, na Zanzibarze i w Nowej Gwinei. Kieruje także wszystkimi kościołami anglikańskimi zagranicą, w Ameryce Południowej, w Japonii, Chinach.

Pewien dziennikarz londyński tak naszkicował jego portret:

„Jest to biskup taki, jak wyobrażamy sobie biskupów wieków średnich. Jest to duchowny, który umie walczyć i gdyby żył za czasów Tudorów, rywalizowałby z Wolseym...”

Dzień 12 maja będzie wielkim dniem dla arcybiskupa Canterbury. W dniu tym wejdzie w życie jego najważniejszy przywilej: prawo koronacji króla Anglii w opactwie Westminsterskim. Wilhelm Zdobywca był pierwszym władcą Anglii, namaszczonego w tym kościele; od tej chwili, od roku 1066 wszyscy królowie Anglii, za wyjątkiem Edwarda, otrzymali koronę z rąk arcybiskupów Canterbury, u stóp ołtarza opactwa Westminsterskiego.

Arcybiskup oczekiwać będzie przed tronem parę królewską, tę samą parę której dawał przed czterema laty ślub. Poprowadzi ich do chóru i tam, zwróciwszy się ku północy, powie do obecnych:

„Przedstawiam wam króla Jerzego, niepodzielnego władcę tego królestwa. Wy wszyscy, którzy jesteście dziś tutaj, by przysiąc wierność, czy dotrzymacie przysięgi?”

Wtedy tłum odpowie: „God save King George!” — „Niech Bóg ochronia króla Jerzego!”

Ciągle w towarzystwie króla arcybiskup powtórzy to zdanie jeszcze trzykrotnie, zwracając się kolejno ku zachodowi, wschodowi i południu, jakby chciał być słyszany przez wszystkich obywateli królestwa, rozsypanych po całym globie.

Wróci potem przed ołtarz, złoży przysięgę królowi, namaści jego czoło olejem, złoży na jego głowę koronę Edwarda Wyznawcy i zaprowadzi go do tronu. Ukleknie potem i pocałuje go w lewy policzek, jednocześnie dotykając korony, podczas gdy uczniowie parafialnego kolegium westminsterskiego, korzystając z wiekowego przywileju, sami wznosić będą okrzyki na cześć króla:

„Vivat rex Georgius! Vivat! Vivat! Vivat!”

W tę uroczystą chwilę może przypomni sobie prymas pewien epizod — z poprzedniej koronacji, z dnia 22 lipca 1911 roku. Obecny arcybiskup Canterbury, Gordon Land, asystował jej wtedy jeszcze jako arcybiskup Yrku. Ówczesny arcybiskup Canterbury, Randal Thomas Davidson zakończył właśnie ceremoniał koronacyjny.

Wówczas, opuszczając swe miejsce na chórze, młody, siedemnastoletni chłopak, w galowym mundurze gwardzisty, księżę Walii, przybliżył się do tronu, ukłód przed ojcem, pocałował go, zgodnie z ceremoniałem, w policzek i dotknął korony. Gdy czynił już głęboki, pożegnany ukłon, król wstał, bardzo blady i, nie bacząc na protokół uroczystości, uściśnął swego najstarszego syna i następcę, który, ucałowawszy dłoń królewską, oddalił się, drżąc ze wzruszenia.

21 maja w opactwie Westminsterskim brak będzie tego młodzieńca, dla którego król wazył się przełamać surowy ceremoniał. I to będzie chyba jedynym dyssonansem w tym potężnym akordzie czci dla domu panującego.

Wiadomości ze świata

PAPIEŻ UZNAŁ PODBÓJ ABISYNIĘ. W poniedziałek, po uroczystym nabożeństwie w kaplicy zamkowej Kwirynału odbyło się wręczenie królowej włoskiej orderu „Złotej Róży”, nadanego przez papieża Piusa XI. Na nabożeństwie była obecna para królewska w otoczeniu wybitnych osobistości, zaś wręczenia insygniów orderu dokonał nuncjusz Borgoncini Duca.

Poprzedniego dnia nuncjusz wręczył królowi włoskiemu swe listy uwierzytelniające, w których papież kilkakrotnie zwraca się do króla, nazywając go również cesarzem Abisynii. Jest to uważane za uznanie przez Watykan cesarstwa włoskiego.

KONTROLA GRANIC HISPANII pociąga za sobą dość znaczne koszty, które pokrywają członkowie Liga Narodów. Koszty są rozłożone proporcjonalnie. Na Litwę przypadła suma 60 tysięcy litów.

NA SZEROKI

— **PROJEKT PODZIAŁU PALESTYNY NA DWIE CZĘŚCI: ŻYDOWSKĄ I ARABSKĄ.** Obradująca w Londynie komisja palestyńska zamierza zaproponować zastosowanie stanowczych środków w celu pacyfikacji Palestyny. Przewiduje się podzielenie Palestyny na dwie części: żydowską i arabską. Jeden z projektów przewiduje nawet utworzenie dwu samodzielnych państw w granicach Imperium Brytyjskiego: dominium, rządzone przez Żydów i niepodległe państwo arabskie. Drugi projekt przewiduje podzielenie Palestyny na dwa autonomiczne kantony na wzór Szwajcarii z powołaniem dotychczasowego mandatu brytyjskiego. Pierwszy plan proponuje oddanie Żydom całego wybrzeża do zatoki Akry na północy do Gazy na południu. Granica na wschodzie sięgałaby jeziora Galilejskiego, zaś na północy — granicy Syrii. Mogłoby tu zamieszkać milion Żydów. Obecnie w Palestynie mieszka 400 tysięcy Żydów. Dla Arabów przeznaczony został pozostała część Palestyny razem z Transjordanią. Możliwe, że emirowi Transjordani przyznanoby władzę najwyższą w całej arabskiej Palestynie.

NOWY REGULAMIN W WOJSKU SOWIECKIM. — Wkrótce wyjdzie spod prasy nowy regulamin wewnętrznej służby czerwonej armii. Według tego regulaminu wojskowi będą tytułowani nie według funkcji, a według rangi, np., „towarzysz kapitanie” itp. Zniesiony zostaje podział na wojskowych liniowych i nie liniowych. Co się tyczy salutowania, to regulamin przewiduje wzajemne powitanie — niższa szarża nie musi koniecznie pierwsza witać po wojskowemu szarżę wyższą. Salutuje ten, kto pierwszy zobaczy innego wojskowego.

— **ARESztOWANIE I USUNIĘCIE ZE STANOWISKA BYŁEGO SZEFA GPU.** W ostatnich dniach został zaaresztowany w Moskwie niedawny szef wszechmocnego GPU Jagoda, który ostatnio był komisarzem poczty i telegrafów. Wraz z zaaresztowaniem Jagoda został usunięty z zajmowanego stanowiska. Jako zarzut stawia się Jagodzie przestępstwa o charakterze kryminalnym. Jak donosi prasa wieść o zaaresztowaniu byłego szefa GPU wywołała w Moskwie duże zadowolenie wśród ludności.

PRZYGOTOWANIA DO ŚLUBU KSIĘCIA WINDSORU. — Rozszerzane od pewnego czasu pogłoski, że ślub ks. Windsoru z p. Simpson ma się odbyć w Normandii znajdują potwierdzenie. Okoliczności, która wpłynęła na wybór miejsca ślubu, jest chęć umożliwienia przybycia na uroczystość angielskiej królowej-matce, która do Austrii z powodu odległości przybyć nie mogła. Ponadto ks. Windsoru oddał do dyspozycji swój zamek w Saint Saens w Normandii ks. Westminsteru.

Dzisiejsza prasa donosi, że propozycje ks. Westminsteru została przyjęta i że ks. Windsoru spotka się około 10 kwietnia z Simpson w Paryżu, skąd udadzą się do Saint Saens. Ślub cywilny odbędzie się w merostwie tego miasta, a kościelny w kaplicy zamkowej. Angielska królowa matka przybędzie statkiem kursującym między Nev Haven a Dieppe. Wśród osób biorących udział w ceremonii ślubnej znajdować się będzie prócz ks. Westminsteru ciotka p. Simpson. Oczekiwane jest również przybycie z Nowego Jorku pp. Rogers, którzy udzielił gościnę przyszłej księżnie Windsoru w Cannes.

POLACY MISTRZAMI HOKEJOWYMI W MANDZURII

Pierwsze miejsce w mistrzostwach hokejowych (na lodzie) w Mandzurii zdobyła drużyna z Charbina, prowadzona przez dwóch Polaków, braci Antuszewiczów. W grze finałowej, do której doszedł Charbin i Sindzin, zwyciężyła drużyna charbińska dzięki mistrzowskiej grze braci Antuszewiczów. Ostateczny wynik brzmiał 6:1, z czego 5 bramek zdobyli Polacy. Miejscowa prasa wyraża się entuzjastycznie o grze polskich hokeistów, im jedynie przypisując tak piękne zwycięstwo. Należy dodać, że mistrzostwa hokejowe wchodziły w ramy mandzurskiej olimpiady zimowej.

M ŚWIECIE

O Polsce i Polakach

— **POLSKA LINIA POWIETRZNA DO PALESTYNY** W poniedziałek została uroczystie otwarta nowa linia komunikacyjna Polskich linii lotniczych „Lot” łącząca Warszawę z Palestyną. Trasa Warszawa—Lydda (Palestyna) wynosi 3187 kilometrów i prowadzi z Warszawy przez Lwów, Rumunię, Bułgarię, Grecję i wyspę Rodos. Dzięki połączeniu lotniczemu Warszawy z Rygą, można w niezmiernie krótkim czasie (niepełne półtora doby) dotrzeć z Rygi do Palestyny.

— **BAZYLIKA WILEŃSKA** przed sześciu laty wobec mocnego nadkruszenia zębem czasu została uniedostępniona dla wiernych. Obecnie prace nad restauracją Bazyliki dobiegają już końca i w poniedziałek po raz pierwszy od lat sześciu została w Bazylice odprawiona msza święta.

— **ZGON DZIAŁACZA POLSKIEGO W LITWIE.** W ubiegłym tygodniu zmarł w Poniewieżu czynny działacz polski na Litwie ś. p. dr. Al. Babiński.

— **SEJM CYGANÓW W PIŃSKU.** W ub. tygodniu odbył się w Warszawie pogrzeb tragicznie zmarłego „króla” cyganów Kwieka. Wraz z jego śmiercią rozpoczęła się walka o „tron cygański”. W związku z nią jeden z czołowych pretendentów, Bazyli Kwiek organizuje w Pińsku wielki zjazd cyganów z całej Polski.

— **POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNO-MUZEALNE W AMERYCE.** W związku z otwarciem w Chicago Archiwum i Muzeum Zjednoczenia Polskiego Rzymko - Katolickiego powstał projekt stworzenia Polskiego Towarzystwa Historyczno-Muzealnego. Przez stworzenie takiego towarzystwa zadokumentowanoby, że Muzeum, stworzone przez jedną organizację, jest mimo to własnością całej Polonii amerykańskiej, z drugiej strony wzrosłoby zainteresowanie Polonii pożyteczną instytucją.

Prasa polsko - amerykańska prowadzi już w tym kierunku akcją propagandową, zakrojoną na szeroką skalę.

— **POLACY W CZECHOSŁOWACJI SOLIDARNI.** Jeśli Czesi ludzili się, że zdołają zrobić jednolity front polski na Śląsku Zaolzańskim, to musieli w ostatnich dniach doznać przykrego rozczarowania. Liczyli, że socjaliści polscy, wierni hasłom międzynarodówki, przejdą do porządku dziennego nad stałym gwałceniem zasad konstytucji czechosłowackiej, gwarantujących prawa mniejszości narodowych w Republice Czechosłowackiej, a tym samym i prawa mniejszości polskiej. Tymczasem w tych dniach Polska Socjalistyczna Partia Robotnicza na Śląsku Zaolzańskim ogłosiła znamienne deklaracje, w której występuje zdecydowanie w obronie praw Polaków w Czechosłowacji, bez względu na wyznanie, czy przekonania polityczne.

P. S. P. R. niejednokrotnie już przedstawiała miarodajnym czynnikom swe żądania w odniesieniu do traktowania mniejszości polskiej. Obecnie, nawiązując do niedawnych oświadczeń czeskich mężów stanu i do najświeższej deklaracji rządowej, mówiącej o możliwości sprawiedliwego i braterskiego rozwiązania problemu mniejszości polskiej, podkreśla, że unormowanie życia mniejszości polskiej w Czechosłowacji może nastąpić tylko na podstawie zastosowania do niej w całej rozciągłości odpowiednich paragrafów konstytucji czechosłowackiej, które gwarantują wszystkim obywatelom, bez względu na pochodzenie i narodowość, równość wobec prawa i równe prawa polityczne i obywatelskie, równe prawo do prac i dostęp do urzędów, swobodę używania własnego języka, wolność zrzeszania się, prawo do nauczania we własnym języku i równe prawo korzystania z wszelkich funduszy publicznych.

Zobaczmy, jak ustosunkują się do tej deklaracji czeskie czynniki rządowe. Sam fakt, że władze zezwoliły na opublikowanie deklaracji nie świadczy jeszcze, że za Olzą zaczyna wiać inny wiatr. Jednocześnie bowiem wydane ostatnia rozporządzenie o „odpolszczeniu”, czyli po prostu o Czechizacji nazwisk, skłania Polaków w Czechosłowacji do nieufności wobec zarządzeń władz centralnych.



Mussolini dekoruje swego syna Bruno orderem.

— **MUSSOLINI O SOBIE.** RZYM. — „Popolo d'Italia” poświęca całą stronę wywiadowi, którego Mussolini udzielił przedstawicielowi jednej z agencji amerykańskich. W wywiadzie tym Mussolini wypowiada swe poglądy na temat uprawiania sportów, używania alkoholu i tytoniu oraz metod pracy i sposoby wykorzystywania odpoczynku.

Mussolini oświadczył, że jest zdecydowanym wrogiem mocnych napojów alkoholowych, chociaż uznaje umiarkowane używanie wina. Sam nie pali od czasu wojny światowej, a wino pija tylko w czasie bankietów oficjalnych. Kawy i herbaty nie pija zupełnie. Codziennie poświęca 30 do 45 minut na ćwiczenia fizyczne oraz drugie tyle na konną jazdę, poza tym uprawia wszystkie sporty zimowe i letnie, z zamiłowaniem oddaje się jeździe na motocyklu, automobilizmowi i lotnictwu. Sypia 7 do 8 godzin na dobę i to zawsze między 11 wieczorem a 7 rano.

W rzadkich chwilach odpoczynku czytuje dzieła historyczne oraz głośniejsze powieści, przeciętnie około 70 rocznie. Ułobionymi kompozytorami Mussoliniego są Verdi, Wagner i Rossini. Nie doznaje on żadnej antypatii do jazz-bandu, który uważa za bardzo zabawny. Od r. 1925 nigdy nie chorował i nie spędził ani jednego dnia w łóżku. „Zorganizowałem moją aktywność — powiedział Mussolini — z punktu widzenia podziału pracy, walcząc z każdym niepotrzebnym ubytkiem energii i stratą czasu. To właśnie tłumaczy rozmiary mojej pracy i brak wszelkiego zmęczenia. Uczyniłem z mego organizmu motor, ściśle kontrolowany, który pracuje z absolutną regularnością”.

— **W ESTONII WPROWADZONO STERYLIZACJĘ.** Z dniem 1 kwietnia weszła w życie w Estonii ustawa sterylizacyjna, którą przyjęto w ub. roku. Ustawa przewiduje stosowanie zabiegu sterylizacji w pierwszym rządzie do takich osób chorych psychicznie, których nie trzeba umieszczać w zakładach dla obłąkanych, a które mogłyby wstępować w związki małżeńskie i mieć potomstwo niezdrowe lub skłonne do chorób. Na ogół ustawa sterylizacyjna będzie stosowana do chorych psychicznie, idiotów, epileptyków i osób obarczonych dziedzicznie chorobą fizyczną lub psychiczną. Ustawa przewiduje również przerwanie ciąży, gdyby istniało przypuszczenie, że dziecko urodzi się z dziedziczną chorobą. Ustawa zabrania sterylizowania przed 10 rokiem życia oraz w takich wypadkach, gdy zagraża to życiu człowieka.

Międzynarodowy kongres Chrystusa Króla w Poznaniu

Kościół św., a z nim i cała ludzkość zagrożona jest dziś więcej, aniżeli kiedykolwiek, mocami ciemności. Poprzez granice wszystkich państw rozwijają one wzmoczoną działalność. W takich czasach więcej aniżeli kiedykolwiek — wskazane jest zbliżenie się katolików wszystkich krajów, w celu jednolitego i czynnego zmanifestowania niezaprzeczalnych praw Chrystusa Króla.

Wskutek inicjatywy, podnoszonej po wojnie z wielu stron, utworzył się pod przewodnictwem J. E. ks. biskupa Alojzego Scheiwilera z St. Galen (w Szwajcarii) stały komitet organizowania powszechnych kongresów Chrystusa Króla.

Dotychczasowe międzynarodowe kongresy Chrystusa Króla — ostatni odbył się w r. 1935 w Salzburgu — były raczej tylko próbnymi mobilizacjami sił katolików, gotowych do wzajemnego zbliżenia się. Obecny kongres, mający się za wyraźną aprobatą Ojca św. odbyć w dniach od 25 do 29 czerwca z. h. w Poznaniu, zakrojony jest na prawdziwie

międzynarodową skalę i ma stać się potężną manifestacją zjednoczonych kadr katolików. Przedewszystkim jednak ma dać on praktyczne wskazania dla zwalczania międzynarodowego ruchu bezboźniczego i stworzenia świadomego ruchu odrodzeniowego w służbie Chrystusa Króla.

Spodziewane jest przybycie na kongres wielu kardynałów, arcybiskupów i biskupów tak z zagranicy jak i z kraju. Poza tym przybędą przedstawiciele Akcji Katolickiej z wielu państw.

Myślą przewodnią kongresu będzie zbudowanie Królestwa Chrystusowego oraz przewyżczenie ruchu bezboźniczego. Stąd obrady kongresu Chrystusa Króla w ciągu trzech dni poświęcone będą:

- 1) przedstawieniu rzeczywistego stanu ruchu bezboźniczego we wszystkich krajach i katolickiej przeciwakcji;
- 2) zbadaniu źródeł i przyczyn ruchu bezboźniczego;
- 3) omówieniu duchowego, moralnego, społecznego i religijnego ruchu odrodzeniowego.



Dom Polonii Brazylijskiej w Kurtybie.

Dział religijny

Ewangelia na drugą niedzielę po Wielkanocy

W on czas: Rzekł Jezus do faryzeuszów: Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz życie własne daje za owce swoje. Lecz najemnik, i kto nie jest pasterzem, do którego owce nie należą, na widok zbliżającego się wilka porzuca owce i ucieka; wilk zaś porywa i rozprasza owce. Najemnik tedy ucieka, bo jest najemnikiem, i nie zależy mu na owcach. Jam jest pasterz dobry, i znam swoje, i one Mnie znają; podobnie jak Mnie zna Ojciec, a Ja znam Ojca. Toteż i życie swoje kładę za owce swoje. Mam Ja też inne owce, które nie są z tej owczarni, — i te muszą przypraważać; one także słuchać będą głosu mego, i stanąć się jedna owczarnia i jeden pasterz.

NAUKA

Najlepszym naukiacielm naszym jest Bóg-Człowiek! Dlatego właśnie stał się Pan Jezus człowiekiem, aby być naszym bratem, aby mieć serce, które odczuwa i rozumie człowieka. Dzielił z nami nie rozkosze i pałace, lecz biedę, żnój i gorzką śmierć. Powiedział raz sam: że nie ma nikt większej miłości, jak ten, który życie kładzie za przyjaciół swoich. I dochował przyrzeczenia. Dał życie za owce swoje, za nas i za wszystkich ludzi.

Matka kocha dziecko swoje i gotowa oddać za nie życie własne. A jednak mówimy nieraz słusznie o ślepej miłości matczynej, która nie pomaga, lecz szkodzi. Miłość Pana Jezusa dla nas jest większą niż miłość matki naszej własnej; bo sięga poza grób, w wieczność; bo zabiega gorliwiej i szczerzej koło nas, niż to uczynić

może jakakolwiek matka ziemska. Chrystus Pan jest Bogiem i widzi wieczność. Chce, żebyśmy po krótkich dniach ziemskiej pielgrzymki doszli do nieba, gdzie rozpocznie się prawdziwe życie i trwałe szczęście. Więc nie szczędzi nam krzyża, bo w nim tylko zbawienie. Nie odejmuje cierpienia od swych umiłowanych, bo to jedyna droga do nieba. Lecz już tu na ziemi daje nam pokój wewnętrzny, miłszy niż skarby ziemskie; i daje siłę do przewyciężenia pokusu i grzechu i do dobrych uczynków. Nie zostawia nas samych w tym grzesznym świecie, bo łączy się z nami w Komunii św. Nie opuszcza nas w trudach i biedzie, bo słyszy nas, gdy modlimy się do Niego; ani w godzinę śmierci, kiedy wszyscy nas opuszczają, bo wtedy przychodzi do nas i raz jeszcze krzepi na drogę wieczności.

A jednak, iluż jest takich, którzy szukają przyjaźni, i pomocy gdzieindziej! Nie niewolę społeczną, na biedę i nędzę i niesprawiedliwość krzyczącą wymyślili środki, które miały zbawić ludzkość. Tak powstał socjalizm i komunizm, tak bolszewizm rosyjski. Gdzieindziej znów masoneria chce uszczęśliwić człowieka i wciąga w swe tajne związki starszych i młodszych; każe im walczyć z klerem katolickim i Kościołem św. a potem z religią i z Bogiem. I to ma być droga do szczęścia społecznego i jednostki.

Nie tędy droga! To nie dobry pasterz prowadzi, lecz najemnik — który „na widok zbliżającego się wilka porzuca owce i ucieka”. Agitatorzy komunistyczni nawołują do gwałtów i wtracają swych zwolenników do więzień, a sami kryją się. Masoneria zatruwa dusze ludzkie i chce założyć królestwo diabelskie. Nie słuchajmy głosu szatana, który przyrzeka a dotrzymać nie może. Przez zdradę węża — szatana utraciliśmy raj.

Jednak tylko jest owczarnia: Kościół Chrystusowy. I jeden pasterz: Chrystus Pan; a zastępcą jego na ziemi Ojciec św.

Do tego dobrego pasterza garnijmy się i słuchajmy głosu Jego. Bo prowadzi nas do wiecznego szczęścia.

Przygotowanie do pierwszej Komunii św.

Nadchodzi czas, gdy dzieci przystępują do pierwszej Komunii św. Jest to dzień bardzo poważny i uroczysty dla całej rodziny, a w szczególności dla dzieci samych. Każda matka, której tylko fundusze na to starczą, obmyśla już tygodniami napróżd wszystkie szczegóły ubioru dziecka i słusznie, gdyż nie trzeba zwlekać z przygotowaniem do ostatniej chwili. Przynajmniej na dwa tygodnie napróżd powinna być sukienka gotowa, bielizna uszyta. Nowa biała sukienka to przecież wydarzenie wielkie dla dziecka! Kupowanie materiału, przymierzanie, nie powinno przerywać wewnętrznego skupienia ostatnich dni przed pierwszą Komunią św. Swieca, wianek czy woał powinny być również przygotowane poprzednio. Rękawiczki są niepotrzebne, przystępuje się przecież bez rękawiczek do Stołu Pańskiego i dziecku tylko przeszkadzają. Sukienka powinna być bardzo skromna, dłuższa niż codzienna, z długimi rękawami i małym tylko wycięciem, uczesanie gładkie, bez loków i kokard, aby strój zewnętrzny był symbolem czystej duszy dziecka, a nie pobudzał go do próżności i wynoszenia się nad inne. Dlatego też wszelkie bransoletki, pierścionki i inne biżuterie nie należą do stroju pierwszej Komunii św., zato medalionik lub krzyżyk z błogosławieństwem rodziców, książeczka do nabożeństwa, różaniec, oto miłe pamiątki od rodziców czy rodziny. Dobrze jest porozumieć się z najbliższymi, aby każdy darował inny upominek. Wszystkie te dary lub kwiaty należy wręczać dziecku dopiero w domu, nie już w kościele.

Dzień pierwszej Komunii św. jest wiel-

ką lecz poważną uroczystością rodzinną. Dziecko jest jeszcze za młode, aby cały dzień mogło się utrzymać w skupieniu. Owszem, niech się pobawi, lecz niezbyt hałaśliwie. Baliki, tańce, wspólne zabawy zupełnie nie są zakazane. Zapewne każda matka popołudniu pójdzie z dzieckiem także do kościoła podziękować Bogu za tę łaskę, której dostąpiło.

Znacznie ważniejsze jest przygotowanie dziecka wewnętrzne. Przygotowanie to rozpocząć się powinno od czasu, kiedy dziecko uczy się kreślić znak Krzyża św. i zaczyna ręce składać do modlitwy. Matka powinna przy każdej sposobności, od zarania życia dziecka, przypominać mu tę chwilę świętą, której dziecko i całe otoczenie z upragnieniem oczekuje i wygląda. Szczególniej w ostatnim czasie

W Kościele

Przychodzą, Panie, tutaj w szary dzień żinowy, Przychodzę wprost od pracy, smutna i zmęczona, Aby przed Tobą zrzucić miłczenia okowy, By się mogła uzalić dusza udręczona. Ale jakże mi mówić o swych troskach, Panie? Gdy Cię widzę schylonym pod krzyża ciężarem, Gdy ogrom bólu święta, ciche łzy i łkanie Padają na Twą duszę swym krwawym beżmiarem. Ciernisz, Jezu... Niedosyć cierni Twej korony, Ludzkość dołączą do nich nowe swoje grzechy. A świat wielkością meki Twojej odkupiony, Dla Ciebie ma jęk tylko — dla siebie uśmiechy. Za murem Twej świątyni wre tan karnawału, W ponętach świata ludzie gubią swoje dusze, I, niepomni na jutro, radość czerpią z szalu, Sumienie dać gotowi — uciech zawierusze. Jakoż mam dodać ból swój do Twojego bólu?... Odnajdę chwilę szczęścia w życia jasnej porze I uśmiech swój bezgrzeszny w modlach, Chryste-Królu,

Złóżę Twojemu Sercu w największej pokorze.
JANINA WASCISZAKOWSKA

przed Komunią św. powinna matka z dzieckiem często o Bogu rozmawiać, czytać z nim książki pobożne, przygotowywać się na pogadanki, zwracać uwagę dziecka na niejednen dobry uczynek, przyzwyczajając je do panowania nad sobą i do umartwienia odpowiedniego do jego wieku.

Ważnym jest także, aby całe otoczenie zastosowało się do nastroju pobożnego. I nie utrudniało dziecku pracy nad sobą. Zdarza się bowiem, że dziecko chce się przewyciężyć lub pozbyć się jakiejś wady, o której wszyscy wiedzą. Zauważył to ktoś z rodziny i zamiast przemilczeć i cieszyć się z tego, głośno przy wszystkich dziecku wychwala. Dziecko zawstydzona i czasami przestaje pracować, nieraz uważa się za męczennika lub męczenniczkę, a co najgorzej czasem zaczyna pracować „na pokaz”. Trzeba dziecku dopomóc słowem zachęty, lecz najlepiej zrobi to matka przy wieczornej pogadance w cztery oczy. — Gorzej jeszcze, gdy rodzeństwo dokucza dziecku, wymiewając: „Patrzcie świętoszek, świętoszka!” Potrzeba heroizmu, aby znosić cierpliwie docinki i drwiny, a biedne dziecko niejedną łzę wyleje. Przecież chciało pracować dla Jezusa, a nie czuje się na siłach codziennie walkę zczyńać ze sobą i otoczeniem.

Matce przeto nie wolno mówić: „Przygotowanie dziecka jest rzeczą księdza i szkoły!” Bóg tobie, matko, dziecko powierzył i kiedyś będziez za nie odpowiadać dała przed Bogiem, więc i ciebie zabrać nie może w przygotowaniu godnym do przyjęcia Chrystusa. Rozmawiaj z Bogiem o dziecku swoim, polecaj jej Matce Najświętszej i Aniołowi Stróżowi, a gdy w dniu pierwszej Komunii św. przystąpią z swoim dzieckiem do Stołu Pańskiego, będziez mogła ze spokojem powiedzieć: „Panie, oddaję Ci tę duszyczkę taką czystą, jaką była po chrzcie św.”

Bronisław Rutkowski

Wielkość pracy twórczej Karola Szymanowskiego



Św. p. Karol Szymanowski

Śmierć Karola Szymanowskiego, genialnego twórcy współczesnej muzyki polskiej, zmusza wszystkich, komu losy naszej kultury artystycznej nie są obojętne, do czynienia obrachunków muzycznych. Patrzymy wstecz na przebytą drogę i uświadamiamy sobie, z jakim kapitałem wartości artystycznych idziemy w przyszłość. I nie jest to sprawa prywatna, lub też sprawa małej jakiejś grupki „estetyzujących” snobów, znudzonych realnością życia współczesnego. Zagadnienia sztuki, na każdym z jej odcinków, stają się zagadnieniami kultury duchowej całego społeczeństwa i narodu. „Sztuka nie jest jedynie objawem szczęśliwego przypadku — że tak powiem: „Deus ex machina” — nie jako poszczególnych — bodaj najświetniejszych — geniuszów czy talentów twórczych, lecz także sprawa społeczna, dobrem i własnością ogółu, potęgą dźwigni, podnoszącą i uszlachetniającą poziom jego duchowego życia” — dowodził Karol Szymanowski w swoim przemówieniu rektorskim.

Dziwnymi drogami kroczyła muzyka polska. Od wieków średnich Polska bierze czynny udział w rozwoju europejskiej kultury muzycznej, ale jedynie pracą twórczą pojedynczych jednostek. Nie możemy dostrzec zorganizowanych, zbiorowych wysiłków, jak to widzimy u innych narodów, nad kształtowaniem się polskiej kultury muzycznej. W pewnych okresach pojawiają się w Polsce wielkie talenty muzyczne Szamotulskich, Zielenkich, Pekieliów, Szarzyńskich i Gorczyckich, aby utonąć w dalekiej trwającej przeciętności i bezbarwności naszego życia artystycznego. Zdawałoby się, że piękny cud artystyczny 19 wieku — Fryderyk Chopin, swoją nawskroś narodową twórczością pełnił muzykę polską na torych właściwych, że od Chopina będziemy narodem w muzyce przodującym. Tymczasem — znowu wielka luka. Nie zapelnij jej nawet utalentowany Stanisław Moniuszko. W pięknej rozprawie Karola Szymanowskiego o Chopinie czytamy: „Historia muzyki polskiej, zwłaszcza XIX w., nie została jeszcze napisana. Występuje ona jako chronologiczny szereg biografii poszczególnych jej działaczy, jako mniej lub więcej trafna charakterystyka ich indywidualnej twórczości, jednak bez uogólniającej idei, bez ostatecznego wykazania organicznych związków i uzależnień, bez jakiegokolwiek planu, ujętego w niedwuznaczny,

krzepki kształt. Przemilcza się — w cichym jakby porozumieniu — nad wyraz smutne zjawisko, iż ewolucja ta odbywała się niejako à rebours: zaczynając się na niedościgłych szczytach geniuszu Chopina i schodząc z wolna — krok za krokiem — w szare, smutne niziny”.

I dopiero w pierwszych latach wieku bieżącego niewielka grupka muzyków polskich podejmuje śmiałe zadanie: wydzwignięcia muzyki polskiej na wyżyny twórczości Chopina, „osiągnięcia w niej wszechłączącej harmonii wyrazu rasy, wznoszącej ją do najwyższej godności wszechczłowieczeństwa”.

Na szczęście, tym razem do pracy twórczej stanęła już grupa, a nie pojedyncza jednostka, utalentowanych muzyków. Dzięki twórczości Karłowicza, Różyckiego, a przede wszystkim Karola Szymanowskiego, współczesna polska muzyka narodowa staje się częścią kultury ogólnoeuropejskiej, nie tracąc ze swoich wartości narodowych.

Kiedy patrzymy dziś na zamkniętą już bogatą twórczość Karola Szymanowskiego, widzimy jej konsekwentną linię rozwojową. Od pierwszych jego preludii fortepianowych, powstałych w latach 1899—1900, kiedy Szymanowski miał lat 18— aż po ostatnio napisane fragmenty niedokończonych Litanii, widzimy twórczą pracę nad mistrzowskim opanowaniem „rzemiosła” muzycznego, nad wyzwolaniem się spod wpływu wszechwładnie w swoim czasie panującej muzyki niemieckiej, nad stworzeniem własnego — jak mówi Szymanowski — „kanonu” muzycznego, własnego stylu. I osiągnął w swej twórczości szczyty najbardziej wyniosłe. Nie są to jednak zdobycze jedynie „formalne”. Każde dzieło Szymanowskiego zawiera w sobie głęboką treść i problematykę artystyczną. Poszczególne elementy muzyczne, cała bogata technika twórcza podporządkowane są u Szymanowskiego wewnętrznej treści utworu.

Wśród pierwszych utworów Karola Szymanowskiego spotykamy „Święty Boże” do słów Kasprowicza, z ciągle powracającym motywem potężnej i przejmującej polskiej ludowej pieśni kościelnej, suplikacji, a wśród ostatnich: Stabat Mater i nieskończona Litania. Ten nastrój religijno-mistyczny, nastrój głębokiego misterium, przewija się poprzez całą twórczość Karola Szymanowskiego. Wystarczy przejrzeć teksty wokalnych utworów

tego genialnego muzyka, aby przekonać się, na jaki ton nastrojona jest jego cała wielka twórczość. Głęboka poezja Berenta, Kasprowicza, Dehmela, Micińskiego, Momberta, Rabindranata Tagore’a, Iwaszkiewicza, Iłakowiczówny, wreszcie innych wybitnych poetów polskich i obcych była tematem jego twórczości. Nigdzie nie znajdziemy tu banału lub przeciętności. Do twórczości Karola Szymanowskiego pasowałaby nazwa „odwiecznych piękni”, pieśni o najgłębszych tęsknotach ducha ludzkiego.

Twórczość Karola Szymanowskiego nie należy do twórczości t. zw. popularnej, łatwo uchwytej, łatwo przez ogół słuchaczy pojmowanej. Długo wydawała się ona nawet pozbawioną istotnych cech muzycznych, była dla nich czymś poza muzycznym: jakimś wielkim zjawiskiem dźwiękowym, jakimś niezorganizowanym żywiołem. Istotnie, mowa muzyczna Szymanowskiego odbiega od utartych, tradycyjnych dróg i ścieżek muzycznych. Zawiera ona w sobie wiele pierwiastków nowych, dotychczas w muzyce niespotykanych. Ale w każdej wszak wielkiej twórczości, a szczególnie w twórczości artystycznej, napotykamy „rzeczy nowe”, dotychczas przez nas nie znane, nieodkryte. I jest to jedną z cech talentu twórczego, że nie zadawala się tym, co już poprzednicy wypracowali, ustalili, lecz szuka nowych możliwości, nowych form, odpowiadających człowiekowi współczesnemu, a nawet więcej — przyszłemu pokoleniu. Nie zawżo bowiem możemy nadażyć za wielkimi, twórczymi duchami, nieraz wyprzedzają one nas o dziesiątki, a nawet setki lat, twórczość ich staje się udziałem dopiero przyszłych pokoleń.

Do tych twórczych jednostek, co to przeszli przez życie jako pierwsi w szeregach ludzkości, zaliczamy Karola Szymanowskiego. Dzieła jego nie tylko zapelniają lukę naszej przeszłości muzycznej, nie tylko są cennym dorobkiem naszej terażniejszości, lecz również głęboko sięgają w przyszłą kulturę muzyczną Polski. Teraz już od nas wszystkich zależy, by tego pięknego, twórczego dorobku nie zmarnować. „Dzieło wielkiego artysty nie przestaje być wiecznym źródłem żywej, twórczej siły wtedy jedynie, gdy zajmie w narodowej świadomości kulturalnej należnemu, najzupełniej określone i pozbawione wszelkiego sentymentalizmu stanowisko” — ostrzega nas Karol Szymanowski.

Zmieszały się szeregi i łamać się zaczęły, to po jednej, to po drugiej stronie.

Dochodziły odgłosy ciężkich razów, gluche, zle okrzyki, brzydkie wyzwicka.

Tam i sam z jękiem padali zapaśnicy, rażeni pięściami w brzuch lub skroń. Na śniegu coraz częściej wykwitwały szkarlatne plamy krwi. Płynęła ona obficie z rozbitych nosów i warg, pękających pod ciosem ciężkich, skórzanych rękawic.

Lis nie mógł ochłonąć ze zdumienia.

Zabawa, przy której z taką łatwością leje się krew?!

Było to coś niezrozumiałego dla Polaka. Wstrętem i oburzeniem przejęło go to dzikie widowisko.

— Krew? — wyszeptał, oczami wskazując na pole bitwy.

— A tak! — z bez troskim wyrazem na twarzy zaśmiał się Rodionow. — Nieraz nawet kogoś tam zabijają podczas „wojniszki”! Cóż chcecie?! Przy tej okazji można załatwić stare porachunki lub dokonać zemsty!... Takie tu panują u nas prastare obyczaje. Przyjeżdżał do Narymu pewien uczoney

do „wojniszki” to opowiadał później, że powstała ona bardzo dawno, wtedy gdy rosyjscy ludzie za panowania Iwana Groźnego, po podbiciu Syberii, zaczęli się tu osiedlać. Tacy wyzywali na pojedynek lub na zbiorową bójkę tuziemców — Tatarów, Samojedów i Ostjaków, ale przedtem umawiali się, że zwycięzca dostanie szmat łąki lub tajgi, albo też stanie się właścicielem pewnej części rzeki lub odłóżki, tylko on może rzucać sieci. Tuziemcy chętnie stawali do bitwy, bo w ten sposób mogli się mścić na najeźdźcach. Dlatego to zabawa tego rodzaju nabrała takiego okrucieństwa i zawzięcia! Prastary to zwyczaj syberyjski!

Lis chciał coś odpowiedzieć, lecz słowa zamarzyły mu na ustach.

Zobaczył straszny obraz.

Wyrostki zmykali w tej chwili z placu boju, a ku niemu mknęła gromada dorosłych Tatarów, Samojedów i rosyjskich rybaków. Każdy z walczących był uzbrojony. Jedni zaciskali w pięści kawał otowiu, drudzy mieli kije w rękę, inni długie, ciężkie dyszle lub grube maczugi.

Cała ta grupa, hałkując i wymachując rękami, pędziła w stronę przeciwników, którzy przy przeciwległym brzegu rzeki stali gotowi do odparcia ataku. Zastukały, załomotały kije i drągi, ryk i nowe okrzyki wstrząsnęły zastygłym powietrzem, grzmocić jęły potężne pięści, owinięte rzemieniami. Natychmiast zaczęły sypały sylwetki padających ludzi, trawianych nogami walczących.

— Ogły! Ogły! — dobiegły ponure nawoływania Tatarów.

— Gałgal Gałgal — odpowiadały im gwałtowne okrzyki Samojedów.

— Ach! — zawołał Rodionow. — Teraz dopiero zacznie się prawdziwa bitwa! Słyszysz? Tatarzy wołają do bitwy swego siłacza, olbrzyma Ogły, który z łatwością łamie podkowy, a Samojedzi wystawią przeciwko niemu Gałgę, osiłka straszliwego. Czy wiesz, że on duże koło od wozu przerzuca, jak lekki kamyczek, poprzez zachodzące słońce! Będzie zabawa! Dziś bez zabójstwa się nie obejdzie...!

Lis nie słuchał więcej opowiadania przyjaciela.

Podgarnął poły kozucha i popędził przez rzekę.

Dopadłszy walczących, jął roztrzącać ich, odrywać zwarłych ze sobą przeciwników, rozłączać bijących się. Ten i ów z nich, wściekły na nagłą zawadę, podnosił nad Lisem ciężki drag, lecz nie zdążył go opuścić, gdy coś wyrwało mu broń, a samego podrzucało, zakręcało w powietrzu i ciskało do wysokiej zasypany śnieżnej, ciągnącej się pod urwiskiem.

Lis uwił się po pobojuwisku, krzyząc na cały głos:

— Stójcie! Mam ważne wieści... Ani kroku dalej, bo... chcę mówić do was! Słuchajcie! Słuchajcie!

Niewiele pomagały okrzyki i nawoływania Polaka, więc, nie długo myśląc, jął porywać walczących i wstrząsać nimi tak, że aż pasy na nich pękały, odrywały się poły i rękawy kozuchów.

Wtedy dopiero cofać się zaczęły przed nim szeregi podnieconych bitwą półdzikich ludzi, rozpadać się na mniejsze grupki, aż wszyscy się rozpieczęli i, stanawszy na uboczu, z przerażeniem i z podziwem przyglądali się temu zwykle spokojnemu i pogodnemu człowiekowi. Lubili go przecież wszyscy i szanowali, a teraz zaimponował im i w zachwyt wprowadził siłą i prawie nieuchwytną szybkością ruchów.

Na placu „wojniszki” pozostało tylko dwóch zapaśników: Ogły, ogromny, ponury, kablakowaty Tatarzyn i takiz rozrostły, barczysty, jednooki Gałga-Samojed. Okładali się wzajemnie ciężkimi dyszlami, usiłując ugodzić przeciwnika w głowę i zęczenie unikając niebezpiecznych ciosów.

— Rozejdźcie się! — zawołał Lis, biegnąc ku nim. — Zaniechajcie głupiej bitwy!

F. A. Ossendowski

MOCNI

Na chwilę oprzytomnieli i spojrzeli na mówiącego zlymi, groźnie błyskającymi oczyma. Po chwili odezwał się Ogły:

— Odejdź i nie mieszaj się do naszych spraw! — zamruczał.

— Odejdź, bo oberwiesz od nas obydwóch! — wtórował mu ochryplym głosem jednooki Samojed.

— Nie przerwiecie bójki? Nie rzucicie tych dragów? — już gniewnie patrząc na nich, zapytał Lis. — Pytam was po raz ostatni!

Ogły zaklął straszliwie i z podniesioną pięścią skoczył ku Polakowi.

Z drugiej strony biegł ku niemu Gałga, dyszlem zakięciw, szy młyńca.

Mieszkańcy Narymu i położnych naprzeciwko, na drugiej stronie Obi, tatarskich wsi — Kujalskiej, Daurskiej i Kustarewowej, ujrzeli coś niebywałego. Ledwie bowiem dobiegli zbrojni przeciwnicy do Lisa, jakaś siła nieznaną oderwała ich od ziemi, machnęła w powietrzu, niby olbrzymimi, czarnymi szmatami, zderzyła głowami i z rozmachem rozciągnęła na śniegu.

Po chwili nad leżącymi schylił się Lis, wyrwał im drągi z rąk, a potem, ucapiwszy za baranie kolnierze, powłókł po śniegu ku pobliskiej przerebli i jął płókać w niej olbrzymów, rzekiłbyś, praczka, myjąca w rzece pasma nieodbielonej tkaniny.

Wypłókawszy starannie i tym otrzeźwiwszy chłopów, włókł ich dalej ku narymskiemu brzegowi, krzyknawszy na innych: — Hej tam! Za mną! A wszyscy! Wszyscy!

Nie sprzeciwiając się, zbitym tłumem, głowa przy głowie, niedawni przeciwnicy sunęli za nim.

Mieszkańcy osiedla otoczyli Lisa kołem.

On zaś, postawiwszy na nogi Tatara i jednookiego Gałgę, przemówił do wszystkich:

— Przelew krwi, bójkę i morderstwo nazywacie zabawą „Wojniszki”! Wam się zachciewa?! Zapomnieliście o dniu narodzenia Syna Bożego, którego umęczono zato, że uczył ludzi miłować się wzajemnie, jak bracia? A wy tymczasem gotowi jesteście pozabijać się dla zabawy? Póki ja tu jestem, nie będzie więcej „wojniszki”! Mówię wam po dobru, a jeżeli nie usłuchacie, potrafię przekonać was o tym czym innym, a czym, to już dziś widzieliście! Chcecie siłę swoją pokazać? Dobrze! Biercie sznur długi i mocny i ciągnijcie go! Kto kogo przeciągnie, ten zwycięży! Wzywajcie jeden drugiego na rękę, borykajcie się, gońcie, lecz wara o bójki!

Lis wypowiedział te słowa tak donośnym i groźnym głosem, że w tłumie natychmiast rozległ się pomruk:

— Sprawiedliwie mów! Poco bójka? Wielkie Święto... Narodził się Chrystus Zbawiciel... Dobrze mówi!

Resztę święta spędzili zapaśnicy na lodzie, borykając się różnymi sposobami, lecz tego dnia już nikt nie widział na śniegu śladów świeżej krwi.

— Ależ macie siłę w garści! — z zachwytem zawołał Rodionow, gdy wieczorem Lisowie przyszli na herbatę do przyjaciół.

— Eh! — machnął ręką pan Władysław. — Miałem dwa razy tyle, ino mi rany i etapy zabrały jej sporo.

— Starczy wam! — uśmiechnął się kupiec.

— Ja też tak myślę, przeto się nie troskam, zbytnio! — zaśmiał się zesłaniec. — Nie mogłem dziś wytrzymać! — dodał, jakgdyby się usprawiedliwiając. Gdy pomyślałem, że dzikie zwierzęta podczas zabawy nie czynią sobie krzywdy, a tu nagle ludzie krew z siebie wypuszczają dla widowiska, zarętu, wesoleści! No, wtedy...!

Urwał nagle i namarszczył czoło, patrząc w ziemię.

Rodionow parsknął śmiechem i dokończył:

— Wypłókaliście w przerebli Gałgę i Ogły, a oni, gdyście przemawiali do nas, stali niby słupy z lodu, a trzęśli się niczem liście osiki... Cha! Cha! Cha!

— Może źle uczynilem? — zapytał Lis.

— Gdzież tam! — zawołał kupiec. — Doskonale! Był tu pewien misjonarz, człek uczoney, on też przeciwko „wojnisz-

LUDZIE

(5) aby należycie przyjąć dostojnych gości! Kto nie ma nic szczególnego w szpitalu, ten musi wpłacić mi dziesięć rubli. Tuziemcy mają ofiarować panu rewizorowi z Petersburga upominki: skórki sobole i kunie, futerko wydry na kolnierza do płaszcza i wogóle wszystko najcenniejsze, aby rewizor was długo i mile wspominał. Tylko niech się nikt nie waży z jakąś tam głupią prośbą lub broń Boże, skargą wyjeżdżać, bo powiadam wam, jak tu stoję przed wami, ja, Ostap Kriwonogow, tak do grobu takiego wpędzę! N-no zrozumieliście?! Zapamiętajcie to sobie dobrze!

Skończył i gwizdnął nahajem w powietrzu, surowym wzrokiem obrzucając stłoczonych przed sobą mieszkańców Narymu. Dostrzegł wreszcie Lisa, którego konwojował niegdyś na etapach. Kiwnął w jego stronę ręką i zawołał:

— A zesłańcie polski niech lepiej na oczy rewizorowi się nie pokazuje. Surowy to pan i buntowników nie lubi!

Lis wzruszył ramionami obojętnie i odparł spokojnie:

— Nie mam żadnych interesów do pana rewizora, więc nie będę się kwapił z poznaniem go.

— No, to już i wszystko! — odetchnął z ulgą Kriwonogow i ujął Rodionowa pod ramię. — A teraz, Michale Szymonowiczu, ugość mnie, jak przystoi, i daj mi jakiś kąs, abym mógł się dobrze przespać. Chodźmy!

Rodionow zgnębiony i stroskany szedł obok policjanta i obliczał w duchu, ile go będzie kosztowała ta nieoczekiwana wizyta petersburskiego urzędnika.

„Urządnik” zaś ciągnął dalej:

— Hal! Mądry to człek ten polski buntownik! Cha! Cha! Patrzcie — no go! Powiada: „nie będę się kwapił z poznaniem rewizora”. Zrećzna, ostrożna sztuka! To nie to, co „dekabryści”, którzy byle co, wnet wylażą ze skargą. A czy ty wiesz, Michale Szymonowiczu, że, gdyby zesłańca wasz zechciał rozmawiać z rewizorem, to tenby go napewno z uwagą wysłuchał? Pan radca Safjanow obawia się tego najwięcej, bo wie, że wy nie gadać nie będziecie. Samojeździ też, gdyż wszyscy wiecie, co was zato czeka! Cha! Cha! Cha! Inaczej z Polakiem Lisem, oj inaczej!

Zniżył głos i dokończył

— Czy ty wiesz, druho, że żona Lisa jest niby krewniaczką jego cesarskiej mości, miłościwego cesarza... Mają ci Polacy przy sobie listy polecające od wielkiego księcia Michała, feldmarszałka Paskiewicza i wielkiego marszałka dworu, generała — hrabiego Benkendorfa... Twardy to orzech do zgryzienia! Na to nawet pan radca Safjanow nie poradzi... Wierzę jednak że mądry z tego Lacha człowiek i żadnej przykrości nam nie sprawi...

Rodionow zrozumiał, że musi podtrzymać dobrze zdanie Kriwonogowa o zesłańcu, więc rzekł:

— Spokojny, cichy, mądry to człowiek! Lisowie żyją po Bożemu... Ona leczy chorych, on nas od „zamoru” wybawił... Mądry, spokojni ludzie — to prawda! Wróby o nich inaczej nie powiedział.

Przez cały wieczór i noc w Narymie panował ruch. Robiono porządku w domu Rodionowych, ozdabiano wieńcami ze świerków i zórawin ściany izb i otaczano girlandami ganek, gdzie wójt i starszyna miasteczka mieli powitać rewizora chlebem i solą. Posypywano piaskiem ulicę i placyk miejski, a po bokach traktu wytkano w śnieg młode, ścięte świerki.

Pani Rodionowa z sąsiadkami skubała ptactwo w kuchni, skrobała ryby, przebierała suszone jagody i wykopane z piasku w piwnicy jarzyny, przygotowując się do przyrzadzenia uczyty dla gości.

Sam Kriwonogow doglądał wszystkiego, lecz szczególnie zajęty był badaniem znoszonych zewsząd butelek z wódką, nalewkami i winem. Próbował osobiście każdego napoju, a tak starannie, że już przed południem zataczał się na nogach i nie mógł mówić, wydając jakieś niezrozumiałe pomruki i poryki.

Wreszcie wpadł do Narymu jeździec i wrzasnął:

— Jada! Jada!

Stłoczony na placyku tłum mieszkańców wkrótce ujrzał w oddali kilka sani. Szybko zbliżyły się, pozostawiając poza sobą obłoki zmarzłego śniegu i pary, buchającej z koni.

Nagle pierwsze sanie zatrzymały się przy wjeździe do miasteczka. Stała się rzecz, nawet przez samego Safjanowa nieprzewidziana.

Wzrok barona Tolla padł nagle na nowy domek o szerokich oknach i złocistych ścianach ze świeżych, roniających żywicę belek modrzewiowych. Rewizor wyraził życzenie poznać wnętrze domu prawdziwego Sybiraka. Szybkim krokiem wbiegł na ganek i zapukał.

— Proszę wejść! — rozległ się spokojny, dźwięczny głos niewieści.

Baron pchnął drzwi i wszedł do sieni.

(DCN)

kom” powstawał i „dzikością ohydną”, nazywał ten zwyczaj... Dobrzeście zrobili, sprawiedliwie!

Rodionow jał przypominać sobie wypadki tego dnia i na głos opowiadał o nich, wybuchając głośnym śmiechem, w którym było tyleż wesołości, ile szczerego zachwytu nad niezwykłą siłą przyjaciela.

ROZDZIAŁ V REWIZOR

Narym z niepokojem oczekiwał zapowiedzianego przyjazdu urzędników. Łamał sobie głowy nad tym, co może sprawdzić o tej porze roku tak nieprzyjemnych gości, lecz nikt nie mógł dać wyjaśniającej odpowiedzi. W dwa dni po świętach wpadł do osiedla konny kozak, oszroniony, półzamarznięty, o brodzie i wąsach, okrytych sokłami lodu. Długo nie mógł mówić, wreszcie, ogrzawszy się i wychyliwszy pięć kubków gorącej herbaty, poczuł się na siłach i oznajmił, że nazajutrz zawita komisja, złożona z kilku osób.

Istotnie, takie komisje zjeżdżały z rzadka do miast syberyjskich.

Zbrodnicze władze syberyjskie śledziły bacznie, żeby żaden list, opisujący istotny stan rzeczy, nie dostał się poza Ural, a zwłaszcza do stolicy. Jednak czasami rząd petersburski otrzymywał z Syberii dochodzące bocznymi drogami doniesienia i skargi na bezprawie gubernatorów, komisarzy policji i prokuratorów. Wtedy to z Petersburga posyłało potajemnie zaufanego urzędnika lub oficera, zaopatrzonego we wszelkie pełnomocnictwa, a ten zjawiał się nagle we wskazanym miejscu i przystępował do rewizji.

W opisanym roku na rewizję Tomskiej gubernii przybył sekretarz ministerstwa spraw wewnętrznych, młody prawnik, baron Alfred Toll, pochodzący z rodziny nadbałtyckich Niemców, wychowanek uniwersytetu heidelberskiego. Rewizor zażądał, aby pokazano mu najbardziej na północ położone miasto gubernii. Był to właśnie Narym.

Baron wyruszył w drogę, mając ze sobą radcę gubernialnego, Włodzimierza Safjanowa, naczelnego lekarza, Niemca, doktora Gustawa Grubera, komisarza policji północnego obwodu, Iwana Rusina, i inspektora podatkowego, starego urzędnika, Szymona Kapuścina.

W towarzystwie kilku niższych funkcjonariuszy komisja na sankach odbywała daleką podróż.

Przed urzędnikami pędzili konni kozacy, ci, którzy pełnili straż po drogach i ścieżkach, aby zesłańcy nie uciekali z miejsc osiedlenia, za co dostawali po pięć rubli za każdego schwytanego lub zabitego zbiega. Kozacy ci bez wiedzy rewizora przygotowywali przed przybyciem jego rozstawnie konie, wygodne noclegi i obfite uczyty, które ofiarowywano urzędnikom, rzekomo w imieniu „wdzięcznej i szczęśliwej ludności”.

Młody, pełen dobrej woli, kulturalny baron Toll nie podejrzewał nawet, że kozacy i niżsi funkcjonariusze policji, tak zwani „urządnicami” oraz szeregowi posterunkowi, zwoływali do urzędów wójtów, najzamożniejszych mieszkańców i żądali pod groźbą więzienia lub chłosty — prowiantów, wina i pieniędzy na wspaniałe przyjęcie rewizora i asystujących mu urzędników. Policja obchodziła wszystkie domy, chaty i czumy tuziemców, grożąc ciężkimi karami przesładowaniami w razie, gdyby ktoś z mieszkańców ośmielił się wystąpić ze skargą na ucisk władz miejscowych.

Wkrótce po przybyciu kozaka nadjechały sanie, a z nich wygramolili się z pod baraniecy urzędnik policyjny i kazał wójtowi skrzyknąć ludność na wiec.

Gdy wszyscy się zgromadzili przed domem Pyragi, policjant basowym, ochryplym głosem oznajmił:

— Jutro w południe przybędzie tu rewizor z komisją. Wyznaczono mu na mieszkanie dom kupca Michała Rodionowa. Hej, Rodionow! Musicie się przemieścić z rodziną do kogoś z sąsiadów, uporządkować dom, żeby aż błyszczał i świecił od czystości! A wy, obywatele Narymu, znoście co macie najlepszego,



T. Kościuszko

Mal. J. Styka,

Pogodnie zeszło słońce dnia 24 marca 1794 roku nad starożytnym Krakowem. Od świtu tłumy ludu zaległy obszerny rynek krakowski. Tłumy postrojone i uroczyste jakby w dzień świąteczny. Było to bowiem święto, wielkie święto, niekościelne wprawdzie, ale narodowe: święto wolności!

Przed starym ratuszem, z którego dziś tylko wieża pozostała, stały bataliony polskie pod sznur wyciągnięte. Od ulicy Szewskiej, otoczony gronem mieszczan, włościan i oficerów, nadszedł Kościuszko.

Zatrzymał się przed frontem batalionów, zdjął z głowy rogatywkę, dobył pałasza, co mu wisiał u boku i przysięgał narodowi na wierność. Przysięgał, iż władzy jaką mu naród powierza, na niczyj ucisk nie użyje, lecz wszelkich doloży starań, by wywalczyć wszystkim Polski mieszkańcom wolność i równość.

Tłumy ludu w milczeniu przysięgi słuchały, w takim milczeniu, że nieledwo serc bicie słychać było, aż gdy słowa przysięgi umilkły, zagrzmiąły zewsząd radosnie okrzyki: „niech żyje wolność! niech żyje Kościuszko!” I wśród tych okrzyków, kto tylko

mógł się docisnąć, ruszał za Kościuszką na ratusz. Tu, w sali radnej, odczytano pismo, nazwane: „Akt powstania obywatelów, mieszkańców województwa krakowskiego”, w którym ogłoszono Tadeusza Kościuszkę najwyższym naczelnikiem wojska Polskiego i Polski całej, z władzą nieograniczoną, t. j. taką, jakiej nikt w Polsce, nawet sam król nie miał; wykazano krzywdy, jakich naród polski doznał od Prus i Moskwy i oświadczone, że odtąd nie ma już żadnych różnic między synami Polski, lecz wszyscy Polacy są równi i wolni.

Po tej uroczystości, Kościuszko zabrał się bez zwłoki do formowania wojska polskiego. Wojska tego w Krakowie i okolicy nie wiele było; Kościuszko więc wezwał lud wiejski do broni.

Lud krakowski widział czego chce Kościuszko. Wiedział, że celem walki, która rozpoczyna, jest zniesienie pańszczyzny i obdarzenie wszystkich Polaków, mieszkańców wolnością, równością i swobodą, jakiej przed tym nigdzie na świecie, nawet w Polsce nie było. To też licznie zaczął się garnąć do Kościuszki. Wnet place i ulice Krakowa zaroily się białymi i szarymi sukmanami, czerwonymi krakuskami, nad którymi polyskiwały na sztorc białe kopy, a mury Krakowa zabrzmiały pieśnią:

Dnia 1 kwietnia miał już najwyższy naczelnik Kościuszko kilka tysięcy żołnierzy, między tym kosynierów niemało.

Z siłą tą wwruszył z Krakowa, przeciw Moskalom, o których zbliżaniu się naczelnikowi doniesiono.

Nowa armia posuwała się z wolna ku Szkalmierzowi, ćwicząc się po drodze w obrotach wojennych.

Naczelnik utrzymywał ład i nieubłaganą karność w szeregach — troskliwie jednak dbał o wszelkie potrzeby żołnierzy, niósł wszędzie ze sobą swobodę i wesołość, dla każdego miał przychylnie i serdeczne słowo zachęty. To też z dniem każdym wojsko silniej go kochało i gotowe było spełnić każdy jego rozkaz nie z obawy lecz z przywiązania i chęci przysłużenia się ukochanemu wodzowi.

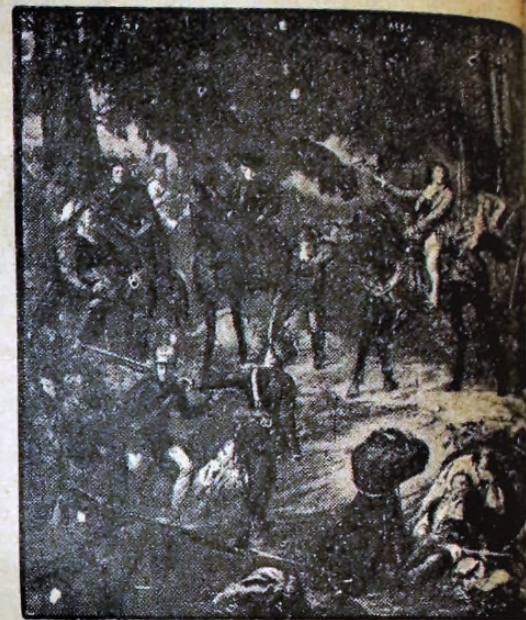
Dnia 4 kwietnia, gdy przednia straż Kościuszki przechodziła nieopodal Raclawic, ujrano na górze, Kościejowską zwaną, zbliżających się Moskali.

Najwyższy naczelnik spodziewał się, że ich tu spotka, wiedział bowiem, iż generał Denisow, stojący w Szkalmierzu z licznym korpusem moskiewskim, stara się naszych otoczyć i wysłał przeciw nim 6 tysięcy Moskali i armat czternaście.

Naszych było prawie tyle; Kościuszko więc rozwinął swą armię naprzeciw Kościejowskiej góry, na wzgórze, oddzielnym od niej doliną, opierając swe lewe skrzydło o głęboki parów, a lewe zastępując laskiem, od którego ku Moskałom ciągnęła się lesista, przepaść. Od środka pozycję zajętej przez nasze wojsko prowadziła głęboka droga, spadająca ku dolinie, a następnie wspinająca się na Kościejowską górę.

Naprzeciw tej drogi postawił Kościuszko sześć

Bitwa pod



Po zwycięstwie raclawickim.

armat, tuż obok kosynierów, a na prawo i lewo jazdę i piechotę, tak, że piechota, co stała na prawo, zasloniona była z boku wspomnianym wyżej parowem, a te wojsko, co tworzyło lewe skrzydło, zakrywał lasek.

O 3-ej z południa Moskałe rozdzielili się na



Pod Raclawicami T. Kościuszko przyjmuje defiladę kosynierów.

Mal. Z. Ajdukiewicz



Kosynierzy

Raławicami



Mal. J. Matejko.

Kościejowskiej górze na trzy oddziały: jeden z nich poszedł poza lasy, by zaatakować naszych z lewej strony, drugi ruszył poza parów, by obejść z prawej, trzeci, posuwawszy się nieco naprzód, zaczął strzelać z dwunastu armat na kosynierów. W ten sposób chcieli Moskale napaść wojsko

Kościuszki z trzech stron naraz, otoczyć i pobić. Zmiarkował to zaraz naczelnik. Uśmiechnął się jeno, kazał wystrzelić parę razy z armat, stojących naprzeciw drogi i nie tracąc czasu, spał koma, stanął przed frontem kosynierów, wskazał szabłą na moskiewskie działa i zawołał:

„Dalej wiara! Zabrać im te armaty! Kosynierzy naprzód! Kosynierzy pierwszy raz w życiu słyszały, jak kule gwizdzą, lecz nie zawały się ani chwili. Huknąwszy co piersi stało: „wiwat wolność. wiwat Kościuszko!“ ruszają naprzód.

Po moskiewskich armatach przeleciało coś, jak błyskawica, rozległ się huk straszliwy — gwizdnęły kule. W kupie kosynierów ten i ów jęknął i z nóg się zwałił... lecz głośniej od huków armat zabrzmiał głos naczelnika: „Naprzód wiara! śmierć lub zwycięstwo, a on sam sadzi koniem przed frontem, jakby na paradzie. Więc nie zwolnili biegu i na oka mgnienie, krzyknęli jeno: „wiwat wolność! wiwat Kościuszko!“ i pędzą naprzód jak burza.

Już zbiegli na dół, przemknęli przez dolinę, wtargnęli na stok góry...

Znów błysk, huk i kartacze zadzwoniły po kosach. Nie zważają, że niejedni krwią brocząca pada na ziemię — „wiwat wolność! wiwat Kościuszko!“ i suną obces na armaty.

Kanonierzy moskiewskie zwijają się niby muchy w ukropie — już działa no raz trzeci nabili, już lonty wzniesli — zapóźno! bo już Bartosz Głowacki z Rzedowic przyszedł do armaty, tuż koją kanoniera i zmiata czapkę proch z armatniej panewki. Już kum Świstacki siedzi na drugiej jakby na własnej kobyle, a nad głowami Moskali brzeżą kosy, niby dzwony pogrzebowe.

Jak fala potopu załazy nasze zuchy armaty, kanonierzy leżą rokotem, piechota idzie im w pomoc. Zwarła się z naszymi, skrzyżowały się bagnety i kosy. Na mgnienie oka zawrzała walka — i znów radośny okrzyk kosynierów: „wiwat Kościuszko!“ uderzył w niebiosy, a Moskale zmykają już przed ich kosami, rzucając broń i tornistry...

Naczelnik wstrzymał konia, chwilę patrzył za Kosynierami, a widząc, że ich już nie powstrzyma, z rozjaśnioną twarzą pogalopował na lewo, za lasy, skąd loskot rzęsistych dolatywał strzałów.

To polska piechota witała ogniem karabinowym drugi oddział Moskali. Ci również strzelali do niej, nie małe czyniąc jej szkody.

Kościuszko zaledwo tu przypadł i rzucił okiem, zaraz zrozumiał co czynić należy. Stanął przed najbliższym półbatalionem i zawołał: „Naprzód wiara! na bagnety!“ Żołnierze radosnym powitali go okrzykiem i ochoczo ruszyli naprzód.

Na ten widok milkną strzały innych batalionów, chyła się bagnety — grzmi okrzyk: „wiwat Kościuszko!“ i polska piechota niby mur ruchomy, osłonięty stalowym bagnetów grzebieniem, pędzi na Moskali. Ci również ruszają naprzód — już,

już zmierzyć się mają z naszymi, gdy nagle nie staje im serca — łamią swe szyki! dziko zawywszy, uciekają w największym nieładzie...

W tej samej chwili trzeci oddział Moskali obeszedszy naszych na prawo, zatrzymał się nad znajdującym się po tej stronie parowem i ze zdumieniem spojrzal po polu bitwy.

Widział na nim tylko trupy swoich towarzyszy i niktających w dali, zwycięskich kosynierów, a tuż na drugim brzegu parowu, krakowskich strzelców, śpieszących ochoczo na spotkanie wroga.

Zdumienie Moskali trwało niedługo. Wnęć zmiarkowali, że nie ma tu co robić, i drapnęli, aż się kurzyło.

Słońce już zaszło — księżyc dwurogi spozierał z jasnego nieba i łagodnym światłem, pospołu z zorzą wieczorną, oblewał raławickie pola. W blaskach jego, przed zieloną sosen ścianą, siedział na koniu najwyższy naczelnik — u nóg końskich leżały chorągwie dumnej carycy Katarzyny; przed nim dwanaście moskiewskich lśniło się armat, a dokoła hiała tłum kosynierskich sukman, czerwieniali krakuski, szczękały i błyszczały zakrwawione kosy.

Tłum wrzał radością i okrzykami. Czapki wlatywały hen w górę, ku niebu, ku księżycowi...

Kościuszko uchylił błękitnej rogatywki, którą miał na głowie — dał znak, że mówić pragnie.

Umilkły okrzyki. Czapki spoczęły spokojnie na głowach, kosy szczękać przestały, niema cisza załęgła dokoła.

Najwyższy naczelnik przemawiał — dziękował kosynierom, w imieniu ojczyzny i wolności, za zdobycie armaty, za odniesione zwycięstwo.

A po tym skinął ręką na Bartosza, kazał wystąpić doboszom i trębaczom, uderzyć w bębny i trąby a gdy umilkły, mówił mniej więcej w sens następujący:

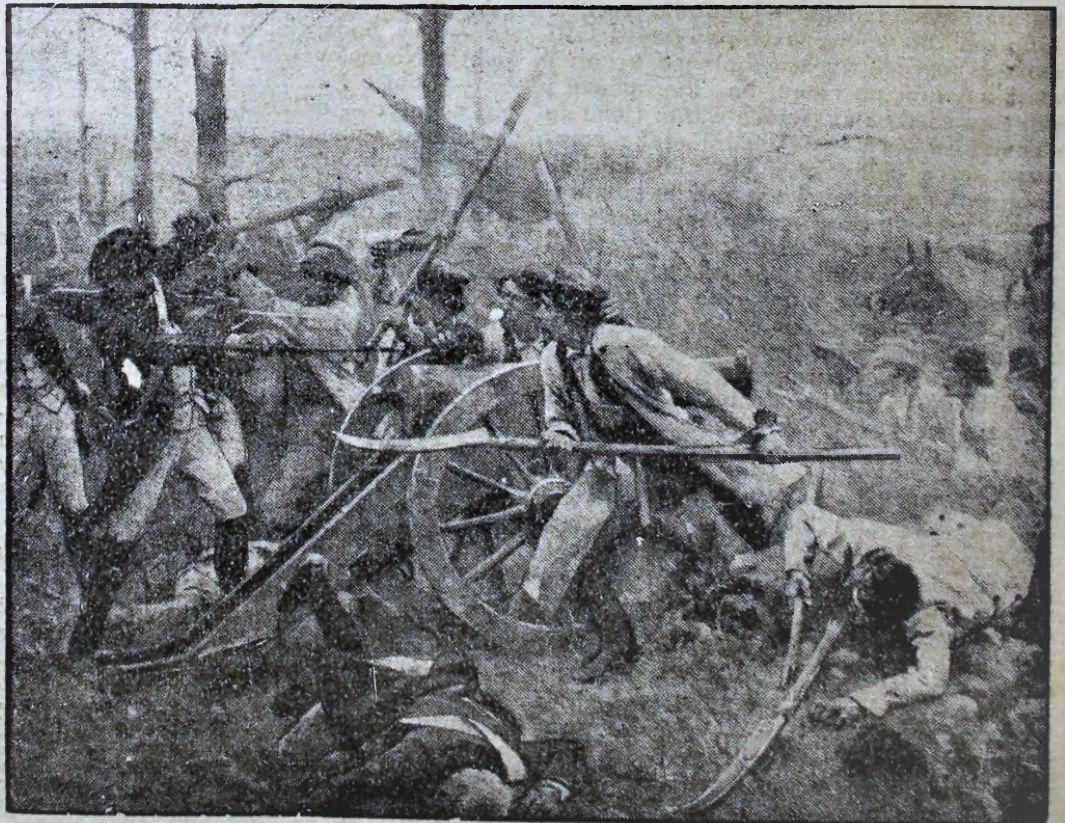
„Wszyscy dzielnie spełnili dziś swój obowiązek; walczyli jak na prawdziwych Polski synów przystało. Nagrodą za to będzie wam sława i wdzięczność współziomków. Lecz słuszną jest rzeczą, by ci spośród was, którzy okazali się najmężniejszymi wśród mężnych, szczególną jeszcze otrzymali nagrodę. Bartoszu Głowacki! widziałem, jak pierwszy wskoczyłeś między armaty, widziałem jak zmiotłszy proch z armatniej panewki ocaliłeś życie niejednemu z twoich współbraci. Tobie się pierwsza nagroda należy. Mianuję cię chorążym krakowskich grenadierów!“

Trąby zagrały. Dobosze uderzyli w bębny, radosny okrzyk zabrzmiał dokoła — błyszczy od srebra i karmazynu adiutant naczelnika, przystąpił do Bartosza i do chłopskiej sukmany przypiął mu srebrne, oficerskie szlify...

Wywolywał po tym naczelnik Świstackiego i innych walecznych i nagradzał ich według zasługi. A okrzyki: „wiwat wolność!“ „wiwat Kościuszko!“ grzmiały na wsze strony i niesły radosną wieść o zwycięstwie wolności na Polskę całą, na świat cały.



„Raławic“ J. Matejki.



Zdobycie przez kosynierów armat pod Raławicami.

Mal. Z. Ajdukiewicz.

W salinach wie

Gościnną część salin wielickich zna prawie każdy, kto przyjeżdża do Krakowa. Niedaleko stąd, 14 km. — warto więc przyjechać, aby zobaczyć ten zaczarowany świat podziemi; komór olbrzymich, pełnych wspaniałych rzeźb, wykutych w bryłach soli; ścian, pokrytych płaskorzeźbami motywów biblijnych; kaplic, pełnych groźnej ciszy, gdzie ołtarze stoją jak zastygłe w dostojnym świetle. Wszystko technie tutaj religijnością górnik. Już na pierwszym poziomie, na głębokości 63 metrów, przykuwa uwagę trzysta lat licząca kaplica św. Antoniego, gdzie w gęstym mroku komory, rozświetlanej lampką karbidową, widać kontury figur świętych, niszczących pod wpływem topnienia materiału. Bo sól, zwyczajnie jak sól — topnieje.

Są też inne kaplice, piękniejsze; ale najpiękniejsza jest św. Kingi; ogromna komora, rękami górników opróżniona z potężnego bloku solnego, a dziś świątynia, jakiej drugiej na świecie nie ma.

Cóż jest w tej kaplicy tak godnego podziwu? — To, że prymityw rywalizuje w niej o prymat z prawdziwą sztuką. Może się to wydać nieprawdopodobne, ale tutaj, w podziemiach kopalni, obowiązują widocznie inne kryteria, niż na wystawach sztuk pięknych... I na to szczególnie, na ten prymityw, zwracają uwagę turyści zagraniczni.

Gdy przewodnik, oprowadzający turystę po kaplicy św. Kingi, objaśnia sceny płaskorzeźb, otaczających dookoła ściany, a przypadkiem ujmie się ambicją, aby pokazać coś „pewnego” i szczyt się np. „Ostatnią Wieczerzą” według Leonarda da Vinci z pięknie ujętą perspektywą, albo tryptykiem, nagrodzonym złotym medalem w Paryżu, — usłyszy zawsze prawie jednakowe słowa:

— Takie rzeczy to myśmy już widzieli. Nawet znacznie lepsze. Na wystawach... Ale tych rzeczy to nigdzie się nie spotyka: to jest u was najpiękniejsze...

I pokazuje prymitywne płaskorzeźby, przedstawiające rzeź niewiniątek, cud w Gaillei, Matkę Boską z Lourdes, albo inne, takie same, nieudolne.

Rzeczywiście, nie podobne to do arcydzieł. Często nieporadnie to skomponowane, bez pojęcia o perspektywie, nieproporcjonalne. Ale podziw budzi przedziwna ferpliwść tego domorośłego artysty, który to rzeźbił; jego nieuczestne zmaganie się z kamienną bryłą soli — jak on to sobie kombinował te sceny, jak sobie to pociesznie wyobrażał i

jak niekształtnie, ale z jakimś szczególnym urokiem wychodziła ta jego prymitywna wizja artystyczna, wypracowywana żmudnie, latami trwającą dłubaniem ryłcem, kierowanym ciężką, pracowaną ręką.

Bo nie żaden artysta tworzył tę galerię płaskorzeźb, zdobiących ściany kaplicy św. Kingi, którą dziś z dumą się pokazuje, lecz rzeźbiarz — samouk, górnik, kruszak, zmarły 17 lat temu, który teraz ma tutaj pamiątkową tablicę. Nazywał się Józef Markowski.

Jak wspominałem sa to znane rzeczy: należą do gościnnej części kopalni; dostępne każdemu; a my wybieramy się znacznie głębiej, gdzie nie ma dostępu turysta, a gdzie odbywa się praca górnik. Trudno jednak pominąć milczeniem ten zaczarowany świat podziemi, o którym tak wiele się słyszało jeszcze w dzieciństwie. Zdaje się, że nie tutaj nie jest obce: i te olbrzymie kaplice, wykute w złączach solnych; i smutne, noszące figury świętych; i błyszczące świeczniki z kryształowej soli; i te płaskorzeźby dookoła ścian, przedstawiające tyle scen tragicznych, męczeńskich i radosnych; i wspaniałe, ale jakieś dziwnie ponure ołtarze; i św. Kinga z legendarnym pierścieniem na ślicznym obrazie Włodzimierza Przerwy — Tetmajera — tylko trzeba sobie to wszystko przypomnieć...

Jeden z górników mówi mi, że i teraz robi się rzeźby:

— Znalazł się tu pewien robotnik — powiada — taki sam, jak tamten, ale poznali, że ma talent, więc wysłali go do szkół. Był nawet podobno zagranicą. A teraz rzeźbi. Ale wszyscy mówią, że to już nie to, co tamten; piękniejsze są jego rzeźby, wiadomo, ale nie też dziwne — to już wyszkolony człowiek robi. A tamto zwyczajny kruszak. A jednak w tamtym jakby więcej serca było...

Trzeba dobrych dwóch godzin, aby obejść tylko ciekawsze miejsca gościnnej części kopalni. A miejsc tych jest wiele. Ale najciekawszych jest trzy: kaplica św. Kingi, komora Sienkiewicza i jezioro Marszałka Piłsudskiego. Tak — tutaj, w tych podziemiach, jest również jezioro, długości 35 metrów, głębokie na półtora. Można nawet po kilka osób przejeżdżać promem do drugiej partii kopalni. Wśród ponurych, ogromnie wysokich ścian i ginącego w ciemnościach sklepienia, wygląda ono groźnie i pięknie... A zawieszona nad nim tablica z imieniem Marszałka nadaje mu jakiejś szczególnie dostojnej powagi.

Ale skąd tutaj, w kopalni, woda? Przecież woda to wróg soli. — To prawda. Ale jezioro Marszałka jest sztuczne i tylko... dekoracyjne. Zewsząd, gdzie ukaże się jakiś strumyk, odprowadza się go do jeziora, aby stworzyć ten sugestywny nastrój niewypowiedzianej grozy, jakiej ulega człowiek wśród ciemnej, nierużnicznionej nocy nad przepaścią, pokrytą spokojną taflą wody...

Wędrowniacy kończy się w komorze Sienkiewicza, największej ze wszystkich, powstałej jak inne, po wybraniu potężnego bloku solnego. Urządzono w niej salę balową: jest scena, bufet, poczta — można stąd wyskoczyć list ze stemplem, że się jest sto i ileś tam metrów pod ziemią. Na przekór logice życia, wymagającej, aby pod ziemią człowiek zachowywał się spokojnie, tylko... jako nieboszczyk, — urządza, się tu huuczne zabawy, z orkiestrą, śpiewami, tańcami, prawdziwe bale przy jaskrawych światłach żarówek — i najcisze echo wrzawy nie dochodzi na powierzchnię...

Z komory Sienkiewicza droga powrotna na... świat. Można jeszcze przyjrzeć się Piaskowej Skale z wspaniałymi śladami dawnej, odbywającej się

patrz, jaki w gazecie nadrukowany. Duży już i piękny jak Archanioł.

Chłopi znowu potakując zakrzyczeli.

— Ty kaznodzieju popowski — odgryzał się robotnik — co wiesz, chodaku białoruski? Po twojemu — kto ten samy następca? A? ... Syn Mikołaja ... I chory on... Krwią spływa... Ledwo się uderzy ... już i krwawi ... Rasputin go lecz. Szeptun ... czart ruski.

— Słyszeli my słyszeli — zawolali chłopci. — Pokażcie nam portret carewiczal

I popłynęło pismo z rąk do rąk niby biała czajka nad rzeką. Twarde, zaskorupiałe dłonie od topora, pluga, młota i piły, mięty kartki papieru, na którym czerniała odbitka twarzy carewicza Aleksiego. Brodate twarze wnojały się w chłopięcą twarz tego, który miał być ostatni w szeregu monarchów Rosji. Ciekawe głosy pytały o dziwną chorobę dziecka, przyszęłego imperatora.

— Ścieka krwią?

— Tak.

— I niema na to rady?

— Niema.

— Biedny.

— Niewinne dziecko.

— Za grzechy ojców — rzygał śliną robotnik.

— Co ty wiesz, co ty wiesz, żydowski brechunie — socjalisto! — łajali go chłopci.

— Krwami jak cały nasz naród, jak

nasze życie rzekł jakiś młodszy wieśniak.

— Znak Boży. Baranek Odkupienia, nie inaczej — szeptał, pobożnie się zegnając starzec, białobrody.

— Męczennik — przemówiła raptem jakaś o woskowej twarzy, nędznie ubrana, kobiecina.

— O, — ktoś jęknął.

Rzeka poniosła chyżej drewniane pudło promu. Robotnik stanął na kolyszących

Olga Dauksza

Michał Łunka

— Nie spiesz, nie spiesz, bo jednakowy jest nurt życia ludzkiego i trwania rzeczy... Koło zamknięte wiecznych powrotów. Jeśli możesz, to cedź życie kroplę po kropli i ciesz się nim po cichu, bo nie pomogą szturm i balwamy, wróć wszak i one do strumyków — mówiła mądra rzeka gorącemu sercu chłopaka. Ale nie słuchał, buntował się przeciwko wszelkim kompromisom z rezygnacją, spokojem i zastyganiem na miejscu. W dzień, gdy przewoził ludzi i ręce trzymał na wiosłach, czuł, że ramiona podnoszą mu się do czynów innych, że kopia jak żagwie. Bo coż znaczyło przerzucić łódź do drugiego brzegu, gdy się, chciało świat poruszyć. A ludzie przejeżdżający łodzią nie domyślali się tego. Jechali bez końca. Z rana robotnicy do rozgwidzanych fabryk i mówili o wojnie, potem przekunki z koszami i bitonami mleka wdychały i płakały nad zabitymi mężami i swnami. Przeprawiali się promem i czołnami chłopci na targ i znowu rozcierali na szcękach-żarnach słowo: wojna, wojna. Szczególniej chłopci wydawali się Michasiowi oryginalnymi w sądach, żyjącymi swym własnym tylko, jakimś odwiecznym, dziecinnym rozumem.

Pewnego wieczoru Łunka ciągnął prom po drucie i przysłuchiwał się rozmowom chłopów o polityce Rosji. Jeden z nich trzymał w ręce czasopismo i czytał je słuchającym uważnie wieśniakom. Od czasu do czasu zatrzymywał się i pojaśniał trudniejsze terminy i fakty. Opodal sto-

jący robotnik nagle przerwał, objaśniającego:

— I co, po twojemu wychodzi, że Rosja pobije Niemców?

— Pobije ... Tak i być ... Nie zwycięży Luter — odrzekł zapytany.

Chłopi z uznaniem zakiwali głowami. I jeden siwobrody, białorus podniósł do góry czarny, od pracy spękany palec, przemówił uroczyście:

— Biblia tak twierdzi: zwycięży w końcu Niewiasta, Caryca Niebios...

— Co tu baśnie pleciesz — przerwał gniewnie robotnik. — Zwycięży, zwycięży... O patrz, wkrótce i nas z domów pogonią. Jeszcze miesiąc, a w pył nas Niemiec obróci. A najgorsze właśnie owe carycy niebieskie i ziemskie, nigdy nie pomagające... Oł i nasza Alisa z Niemcem bratem w jedną dudkę gra, a my giniemy na frontach.

Więsi y zahłasowali raptem:

— Cóż to ona, ta — Niemkini?... Do Niemców ją obprawić, jeśli taka!

— A co? Nie szkodziłoby. Czemuż wasza gazeta o tym nie pisze? Rzućcie ją do licha! Kłamie ona — syczał robotnik. — Póki car u nas, to Rosja za nic nie zwycięży — dodał szeptem, oglądając się w koło. Siwobrody chłop stuknął robotnika po ramieniu i zahuczał po ojcowsku:

— Trzymaj język! Nie szcękaj, ty „brechło”. Car — Boży pomazaniec. Jeśli on słabowity, no toż syn jego rośnie. O

lickich

przed pół tysiącem lat „roboty fartuszkowej”, kedy to praca górnika nie była zmechanizowana, a sól wydobywano się z kopalni za pomocą skrobaczki ręcznej, zeskrobującej cenny proszek do... fartucha. Ale to zbyt stare dzieje. Lepiej zobaczyć pracę dzisiejszego górnika.

Na czwartym poziomie, gdzie niema dostępu nikt z poza kopalni, a gdzie odbywa się praca górników, zjeżdżamy z nadszybia Danilowicza. Towarzyszy mi inżynier W., trzymający w ręku płonącą lampkę karbidową. Wchodzimy do klatki windy; człowiek, obsługujący dźwig, żegna nas zdawkowym „szczęść Boże”, zamyka drzwi od zewnątrz — i zapadamy się pod ziemię... Zjeżdżamy na głębokość 170 m. W przelocie mijamy światła wyższych poziomów; po chwili otwierają się drzwi windy: mamy przed sobą nieprzenikloną noc... Sylwetka człowieka, świecącego płomykiem karbidówki, wita nas obojętnym „szczęść Boże”; odpowiadamy również „szczęść Boże”; mijamy go i oddalamy się wąskim chodnikiem.

— Ma pan nastrój kopalni — odzywa się towarzyszący mi inżynier.

Ciemności, otaczającej nas dokoła, nie można porównać do najbardziej ponurej nocy: żadna, bezgwiezdna i bezksiężycowa noc nie może być tak ciemna.

Idziemy, milcząc. Torujący nam drogę wąty płomyk lampki rzuca blade światło na ścianę chodnika, rozjaśniając fantastyczne wzory przekroju geologicznego.

Dobrze jest iść tak w tej ciszy niepojętej, krok za krokiem, nie pytać o nic, widząc tylko sylwetkę towarzyszącego człowieka, który zamyślił się i spesepniał.

Skrećmy w boczny chodnik. Mijamy jakąś obszerną komorę. Znowu chodnik; jakieś drzwi

ogromne, i znowu długi ciemny, chodnik, poprzerinany innymi chodnikami. Labirynt.

W pewnej chwili zapytuje:

— Ile jest wszystkich chodników w tych podziemiach?

— Ogółem długość chodników wynosi przeszło 140 km. Gdyby te chodniki tworzyły jedną, równą trasę, byłoby to o kilkanaście kilometrów dalej, niż z Warszawy do Łodzi.

Odtąd zaczynamy rozmowę błądząc w tej groźnej nocy i czasami tylko zatrzymujemy się, aby coś oświetlić, zobaczyć.

— Widzi, pan; nie trzeba kompasu, aby być pewnym, że idziemy na południe.

Oglądamy przy tym na ścianie chodnika fragment ciekawego przekroju geologicznego, na którym widać wyraźne ślady działania sił górotwórczych. W tym miejscu widać jasną, grubą ryse, biegnącą od dołu jednej ściany — przez sklepienie — do dołu drugiej, w formie łuku.

— Pochyły kierunek tego układu geologicznego wskazuje stronę południową. Ale proszę przyjrzeć się dobrze tej ścianie: jest to ściana normalnego chodnika poszukiwawczego — szerokość 2 metry, wysokość 2,20 — tyle tylko, aby człowiek mógł się swobodnie poruszać. Chodnik ten przekopala czołówka górników w poszukiwaniu pokładu soli. Na cóż trafili? Widać to w układzie tych warstw: ile jest miąższości soli, czyli tych jaśniejszych, grubszych żył, które są wartościowymi warstwami soli, a ile jest bezwartościowej płonej skały, nazywanej przez górników „szpetnym”, która przy kopaniu idzie na solankę... Okazuje się, że przez cały czas, jak idziemy tym wąskim chodnikiem, nie ma nigdzie bogatszych warstw miąższości. Dopiero w miejscu, gdzie stajemy na skrzyżowaniu chodników, sam za siebie mówi już układ warstw geologicznych: widać bogate złoża. Stąd, w obie strony od chodnika poszukiwawczego, przekopali szerokie chodniki „odbudowy”, od których wyznaczali obszernie, 14-metrowe strzelki, czyli miejsca robocze, po obu stronach chodnika odbudowy, odgradzane 8-metrowymi filarami solnymi — i odbywała się już normalna eksploatacja.

Idziemy dalej. W głębi, przed nami, błyska w ciemności światelko. Pawoli światelko staje się coraz jaśniejsze; wkrótce odróżnimy kontury człowieka i... konia. Szybnami kolejki toczy się kilka wypełnionych wagoników, ciągniętych

przez apatycznego siwka, którego poprzedza trybar z latarką.

Wymieniamy „szczęść Boże”.

— Wagoniki, które nas w tej chwili minęły — objaśnia inżynier — wypełnione są „kulakami”. To właśnie „szpetne”, bezużyteczne części złożów, które przewozi się do czterech wież ługowniczych. W wieżach tych, pod silnym strumieniem wody, ulegają one rozpuszczeniu i częściowo używane na solankę.

Nagle, w głuchej ciszy podziemi, rozległy się jakieś przytłumione odgłosy. Najpierw jedna detonacja, potem druga, trzecia — powtórzyło się szereg odległych wybuchów. Idziemy szybko. W boczny chodnik słychać już wyraźny warkot wrębiarki. Gdy minęliśmy najbliższy zaułek, warkot rozlega się jeszcze głośniej, potęguje się z każdym krokiem, dudni, huczy, wypełnia podziemia przerażającym loskotem — w powietrzu, w kręgu światła karbidówki, widać już mgłę pyłu, czuć smak soli...

Jesteśmy na miejscu eksploatacji. Przywarły, w rogu ściany człowiek szarpie się z wściekłą warczącą wrębiarką, kieruje nią energicznie, wrębuje się w twardą ścianę. Zauważył nas po chwili; przyciszył maszynę; uchylił kapelusza: — Szczęść Boże...

— Jak wam tu idzie? — zapytuje inżynier.

— Niegorzej... — odpowiada robotnik. Jest to starszy człowiek, o typowych rysach twarzy wieśniaka; bez marynarki, w rozpiętej pod szyją koszuli, w obciśniętych rzemiennym paskiem spodniach; na głowie zsunięty trochę z czoła, zgnieciony kapelusz, przysypany białym pyłem; stoi wryty butami w kupę soli, podobnej na pierwszy wejrzenie do karabina maszynowego, którego lufa skierowana jest w stronę ściany.

Popatrzył chwilę, przetarł rękawem twarz i zabrał się do roboty: komora znowu wypełnia się przeraźliwym hałasem. Praca idzie mu zresztą w ścianie, wysokości przeszło dwóch metrów, wykroił już długą szparę, od ziemi do stropu. Nie odbywa się to z wielkim trudem: wrębiarka poruszana jest sprężonym powietrzem, zakończona 5-zębna stalowa korona; wykonuje ruchy udarowo-obrotowe. Przedłużając tłoczysko maszyny co pół metra, górnik może osiągnąć dwa i pół metra wrębu. Po obkrojeniu przodka roboczego z

(Dokończenie na str. 17.)

się nogach przed zbitą gromadką ludzi i zjadliwie się uśmiechając z pod zakopconych wąsów, wycedził:

— Niewolnicy. Ciemnota!

Lecz zakrzyczyły kobiety i jedna z nich przyskoczyła do robotnika, wrzasnęła mu w ruda gębę:

— A co? Może ty nas oświecisz, fabryczna harmonio?

— Żandarm carski dla was lepszy nauczyciel niż ja — mruknął.

— I ty taki sam! — zakrzyczyli mężczyźni. Daj tylko tobie nahajkę do ręki, nie pożalujesz nikogo!...

— Oho, ho! — leciało po rzece. Już prom stał przy brzegu. Wymyślając i sprzecząc się, wyszli ludzie na mostek, gruchocząc wyjechały na brzeg konie z wozami. Wkrótce tłum zniknął za górą prowadzącą do miasta.

Michaś wówczas zobaczył, że pismo z portretem, wielkiego księcia, leży obok jego nóg, zdeptane, zabrudzone. Podniósł tygodnik, przewrócił kartki.

— To on... carewicz — pomyślał Michaś.

Z portretowego owalu spojrziała na Łunkę twarz chłopczyka w marynarskiej bluzie. Owale twarzy rzeczywiście ikonowych świętych, rysy prawidłowe, jasne, mądre oczy, usta żywe i świeże, gesta czuprynika ucięta nad czołem. I w całym tym chłopięcym obliczu była rozlana szczerze-gólniejsza rasowa duma i niby bolesne zapytanie. Oczy pytały, oczy śmiertelnie skrzywdzone.

Michaś wpatrzył się w portret.

— Wróż? To ten, dla którego z miejsca ruszyły narody, zatrząsa się ziemia w stuku armatnim? To ten, dzięki któremu ty chodzisz głodny, obdarty, bozy i ciemny jak jaskiniowy zwierzę? — — — pytał

siebie Łunka. I poczuł jak zaprzeczyła cała jego młodzieńcza i szczerą duszą. — Nie, nie... To tylko biedny chłopiec, druh, — kolega — przeszła myśl przez głowę. Tak samo patrzą aniołowie Ody z jej obrazów. Tak oto ze swej bolesnej dali... Lub męczennicy, święci. Z takimi zranionymi oczyma. Dlaczego? Dlaczego?

Michaś jeszcze raz spojrzął na carewicza. I był z nim w zgodzie. Czemuś go żałował. Aleksy patrzył mu prosto w duszę, ze zrozumieniem. Za twarzą następcy tronu piętrzyły się zrózowione obłoki, zatoka, karłowate drzewka na skalistym brzegu, niby w ogródcu.

— Ścieka krwią, ścieka krwią za każdym uderzeniem — szeptał Michaś.

Włożył pismo do kieszeni i wyszedł na brzeg. Nadchodził wieczór, wiosenny, parny. Brzeg dymił smolą i dziegiem. Czarne chmury zawisły nad wodą.

Michaś siadł na pobliskiej łódce. Ciężar leżał mu na sercu niby kamień, który zdźwignąć nie można było. Nie cieszyła wiosna wonna, zawrotna, chmury nadobływały zewsząd, chwiałały się nad głową Łunki, dławiły go, sypchały w głębi. I tak samo, jak nad zatoką, przy której stał carewicz Aleksy, tak teraz nad rzeką ujrzał Michaś rudobure słońce, sączące się przez obłoki.

I znowu zobaczył wbite w siebie oczy carskiego pacholęcia...

— O świecie — mówiły te lazurowe oczy. — O świecie...

Nagle usłyszał Michaś poryk bydła. Brzegiem szło stado krów. Poganiacze żydzi pędzili bydło na ubój do rzeźni. Smutne oczy krów idących na śmierć przepłynęły po twarzy Michasia. Zatrząsał się. Ciężar leżący na sercu przeobraził się w

ból. Chłopiec zaskrzypiał zębami, wstał z łódki i po chrzęstliwym żwirze począł iść brzegiem, wsłuchując się w dojmującą skargę własnego serca.

— O świecie — szeptały usta. — O świecie, coś w tobie jest nie tak, jak być powinno...

— Niema sprawiedliwości — leciała myśl przez głowę...

Niema sprawiedliwości i być nie może przy takim porządku rzeczy szepnęła Łunka do siebie.

Kamyki i żwir ciurkały mu pod nogami. Nad rzeką przeleciały ze świegotem jaskółki. Z daleka, z daleka odzywał się grzmot.

— Łunka, włącz do budki, będzie burza! — krzyczeli do Michasia przewoźnicy nad brzegu.

Michaś stał nieporuszony, wpatrując się w rudością ociekające niebo.

— Krew — krew — krew... I męka, ból. POCO? Jakim bogom to potrzebne? Grzmot zbliżał się.

Michaś przymknął, oczy i z ulgą westchnął: niech grzmi, niech cały świat się rozprysnie jak banka ruda, wstrętna!

— Carewicz ocieka krwią... — przypomniał Łunka słowa.

I nagle pod przymkniętymi powiekami jego skrzyżowały się błyskawice. Wtedy otworzył oczy i wzniósł je aż do chmur. Trzaskały grzmoty, toczyły się po niebie. Błyskawice zalewały brzegi, rzeki światłem elektrycznym to różowym. Było widniej niż w dzień. W przeraźliwym świetle piorunów stał Michaś nad taflą rzeki. Czerniał swą smukłą sylwetą na tle ognia, wody i białego nieba. Wsłuchiwał się w śpiew własnego serca, widział ogień swoich nieskończonych wieczornych i nocnych dym... (DCN)

SPRAWY KOBIECE

Czy umiesz usmażyć smaczny kotlet?

— Bagatelka! Biorę kawałek mięsa, kładę na patelni i smażę — powie niejedna młoda gospośka. Tak mogłoby się zdawać, tymczasem jeśli kotlet ma być naprawdę smaczny, trzeba zadać sobie trochę więcej trudu.

Najpierw trzeba wybrać odpowiedni kawałek mięsa. To jeszcze nie jest tak bardzo trudną rzeczą, gdyż na żądanie rzeźnik da nam kotlet z kostką, który bardzo łatwo rozpoznać można. Trudniejszą znacznie sprawą jest wybranie kawałka mięsa na t. zw. „sznyceł” cielęcy. W tym wypadku najlepiej żądać mięsa od t. zw. „kulki” lub „piętki” czyli po prostu pieczeni. Najstępnie należy ten kawałek mięsa zbić specjalnie na ten cel przeznaczonym młotkiem. W tym celu układa się mięso na grubej deseczce bije się je najpierw z jednej strony, a potem z drugiej. Po zbitiu mięsa należy je posolić i popieprzyć z obydwu stron, poczem kotlet trzeba uformować. Formowanie kotletu odbywa się w ten sposób, że dwoma nożami ściągamy go niejako, aby był nieco grubszy, i nadajemy mu ładny kształt. Robi się to dlatego, że przez zbitcie kotlet staje się szerszy i równocześnie cieńszy, i gdybyśmy go smażyli w tym stanie, bardzo łatwo mógłby nam się wysuszyć. Kiedy nasz kotlet jest już zbity, posolony i popieprzony, oraz uformowany, przystępujemy do dalszych czynności. Najpierw sypimy na naszą deseczkę lub na talerz nieco mąki pszennej, na drugi talerz sypimy przesianą tartą bułką, a na trzeci głęboki talerz wbijamy jajko (całe) i rozbijamy je widelcem z dwoma łyżkami mleka. Przygotowany poprzednio kotlet tarzamy najpierw w mące z obydwóch stron. Następnie maczamy go również z obu stron w jajku, a wreszcie tarzamy go w tartej bułce także z obu stron. Czynimy to dlatego, aby uzyskać ładną, rumianą powłoczkę na kotlecie. Niektórzy rozbijają osobno żółtko, a z białka biją pianę i maczają kotlet najpierw w żółtku, potem w pianie, a na końcu w bułce. Ten sposób jednak nie jest zbyt dobry. Wprawdzie kotlety tak smażone wyglądają w pierwszej chwili po usmażeniu bardzo ładnie i apetycznie, ale wygląd ten nie trwa długo, gdyż skórka w ten sposób powstała bardzo łatwo odpada z kotleta kawałkami, co na półmisku wcale ładnie nie wygląda. Dlatego też radzę postępować poprzednio opisanym sposobem, t. j. maczać kotlet w całym jajku rozbitym z mlekiem, a potem w tartej bułce. Teraz nasz kotlet jest gotowy do smażenia. Zanim przystąpię do opisu samego smażenia, muszę powiedzieć parę słów o patelni, na której, jak wiemy, smaży się kotlety. Otóż niestety bardzo wiele gospodyń obchodzi się bardzo źle z patelnią. Przede wszystkim niektóre gospośki wogóle nie myją patelni, gdyż twierdzą, że to patelni szkodzi i że patelnia od mycia rdzewieje. To też zamiast umyć porządnie nieszczęśliwą patelnię te zafowane osóbkki wycierają ją po prostu papierem i taką tłustą chowają do szafy. Co się dzieje? — Na pozostałym na patelni tłuszczu osiada warstwą pyłu i patelnia robi się coraz brudniejsza i coraz obrzydliwsza. Co gorzej, stary tłuszcz jęlczeje na patelni, co jest bardzo szkodliwą fermentacją w jelitach, a po dłuższym używaniu takiego tłuszczu można się nabawić poważnych niedomogań. Stąd tak często się zdarza słyszeć skargi: „przecież gotujemy tylko na świeżym maśle, a ciągle w domu ktoś choruje na żółtek”. To te patelnie temu winne, moje panie, i te niedomyte garnki. Prócz tego kotlet smażony na „pielegnowanej” w ten sposób patelni, będzie zawsze brudno szarego koloru. Dlaczego? — Oto dlatego, że patelnia jest po prostu brudna. A więc przed smażeniem kotletów należy doskonale wyszorować patelnię, a wówczas kotlety nasze będą miały ten piękny, złotawy kolor, którym każda gospośka tak chętnie się pochwali.

Do smażenia kotletów bierzemy naturalnie świeże masło. Jeżeli jednak ktoś jest zmuszony czy to przez oszczędność czy z innego powodu używać innego tłuszczu, to w takim razie radzę brać smalec wieprzowy pół na pół z masłem. Sam smalec jest zbyt tłusty i nie każdy go znosi. Przy tym na samym smalcu mięso gorzej się rumieni.

W każdym razie ostrzegam przed używaniem rozmaitych margaryn. Jest to i niesmaczne i niezdrowe, a przy tym wcale to nie wypada taniej.

Przystępując do smażenia kotletów pamiętajmy o tym, aby nie kłaść na patelnię zbyt dużo masła na raz. Lepiej włożyć najpierw tylko trochę masła a potem w czasie smażenia dolać go w razie potrze-

by. Gdy masła jest na patelni zbyt dużo, kotlety gorzej rumienią się niż na małej ilości masła. Kotlety należy kłaść na patelnię dopiero wtedy, gdy masło zacznie się rumieć. Pamiętaj jednak należy, aby masło nie było zbyt mocno zrumienione lub przypalone. W takim bowiem maśle powstają szkodliwe dla naszego organizmu kwasy.

W czasie smażenia należy kotlet przewracać raz na tę, raz na tamtą stronę i często polewać go z wierzchu masłem. Wyjaśniam, że chodzi tu o to masło, na którym kotlet się smaży. Bierze się po prostu łyżką masło spod kotletu i polewa się nim kotlet.

Czynność ta jest bardzo ważna, gdyż dzięki niej kotlet nasz nie będzie wysuszony, ale smaczny i soczysty, a równocześnie kruchy.

Usmażone kotlety układamy na wygrzonym półmisku, ubieramy ładnie zieloną pietruszką, jarzynkami lub innym garniturem i zaraz podajemy na stół.

Aleksander Anik-Nikończuk

Taniec

Nogi gibkie
Gną się szybko
W huragannym tanie.
A falbana
Rozegrana
W tanu huraganie
I lopotce
I furkocze,
Niby chorągiewka, —
I jak wolny
Wiatr swawolny
Kręci się z nią dziewczka...
Radość żywa
W nogi splywa
Z serca jej ochotnie —
Ust korale,
Jak opale,
Śmieją się zalotnie — —
Taniec tańczy
Obląkańczy
Niby fryga z maku,
Przy dorodnym
Tańca głodnym
Młodemu parobczaku —
I z rozkoszą
Ją unoszą
Śpiewne skrzypek tony
W tan — co tańczy.
Obląkańczy,
Chybki i szalony... .

Zakrecone rogi dywanów

Niemal utrapienia sprawiają pospodyniom zwijające się rogi dywanów. Rano wyglądzi się je, zaprasuje lub zaparuje, a tu po południu już znów sterczą rogami ku górze. Potykamy się o nie, dziecię się przewraca zbijając guza i tak wciąż w kółko.

Mam doskonały środek przeciwko takiemu zakrecaniu się rogów.

Do garnka z wodą należy wstawić drugie naczynie i w nim rozpuścić klej stolarski. Dodać ostrożnie trochę wody i kilka kropel oleju. Masę wymieszać dobrze. Dywan ułożyć w kuchni na podłodze — lewą stroną na wierzch. Brzegi przymocować cienkimi gwoździkami do podłogi, po czym zasmarować brzegi dywanu klejem na szerokość mniej więcej 10 cm. Dywan zostawić przypięty do podłogi do czasu aż wyschnie, po czym dopiero wyjąć gwoździki lub szpilki i położyć go na swoje miejsce. Przez dodanie oleju do kleju, pozostaną nasmarowane brzegi elastyczne, jednakże nie skłonne do unoszenia się.

„Pani Domu”

Dla wszystkich, którzy w chaosie czasów obecnych pragną szczęścia i szukają go poomacku, przeznaczony swą pracą dr. fil. H. C. Link. Praca ta omawia zagadnienie powrotu do religii w sposób ogromnie prosty, jasny i niemal że praktyczny, tak wiele zawiera wskazówek, możliwych do natychmiastowego zastosowania. Streszczenie tej pracy przynosi swym czytelnikom Nr. 7-y „Pani Domu”; mimo że podane materiały i przykłady są zaczerpnięte ze stosunków amerykańskich, nasuną one wiele myśli także ludziom z innych krajów.

Niejednokrotnie słyszy się skargi na nieracjonalne metody żywienia w pensjonatach, restauracjach, internatach, bursach itp. Analizę złych stron żywienia zbiorowego oraz wskazówki, jak usunąć owe złe strony tak doniosłej dziedziny życia społecznego — podaje art. M. Strasburger „O reformę żywienia zbiorowego”.

Związek urody ze zdrowiem, ich wzajemną zależność i sposób podnoszenia urody przez higieniczny tryb życia, a także ciekawe wiadomości o stosunku do higieny w dawnych wiekach omawia art. „Zdrowie i Uroda” E. Bleszyńskiej.

Względy towarzyskie czy inne zmuszają nieraz panie domu do podawania win na przyjęciach. Ważną sprawą jest przy tym umiejętność wybrania i podania odpowiednich win. Wątpliwości z tej dziedziny rozstrzyga specjalny artykuł.

Odmalowanie własnymi siłami drzwi, okien i sprzętów w mieszkaniu może stanowić dużą oszczędność przy odnawianiu i oczyszczaniu mieszkania. Jak należy posługiwać się lakierami — mówi artykuł, opracowany przez Instytut Gospodarstwa Domowego.

Bogato ilustrowany, artykuł „Wrażenia z Tangów Wiedeńskich”, jadłospisy i przepisy potraw, przyrządzanych z resztek oraz program Zjazdu Delegatów Zw. Pań Domu we Lwowie dopełniają treści interesującego i ciekawie ilustrowanego numeru.

Szczęście małżeńskie w Persji

W Persji, istnieją różne ciekawe formy małżeństw, a najdziwniejszym zwyczajem, jest tam chyba tak zwane małżeństwo czasowe. Oto jeśli urzędnik, lub kupiec, ma w jakiejś oddalonej miejscowości zabawić dłuższy czas, to wolno mu tam, bezkarnie zawrzeć czasowe małżeństwo z wyrbaną uboczną żoną. Co jednak dziwniejsze, że przez to, nie zdarza się, by po powrocie do domu, padł w jakiś niemily konflikt ze swą właściwą ślubną polową.

Z uboczną żoną zawiera prosty układ obowiązujący przez dwa miesiące, rok, czy też dłużej, który to układ oczywiście obie strony winno dotrzymywać uczciwie. Skoro termin powrotu do domu się zbliża, małżonek obdarowuje czasową żonę, podarkami, względnie pewną sumą pieniężną, żegna ją czule, i wraca do swej pierwszej żony najszczęśliwej matki kilkorga dzieci. Jeśli jednak, i z tej czasowej żony ma potomstwo, wtedy następuje zgodny podział

dziełmi, chłopczyków mąż zabiera ze sobą, dziewczęta zostają przy matce. W przypadku gdy matka wydarzy się znów, także czasowe małżeństwo dziewczynkę wychowują rodzice, względnie jej krewni. Persowie nie mają też wcale kłopotu z rozwodami, choć te stosunkowo rzadko się u nich zdarzają. Rozwód nie wymaga wiele czasu, ani specjalnego urzędu, ani też żadnej uzasadnionej przyczyny. Wystarczy aby mąż wyrzekł przy świadkach „Jesteśmy rozwiedzeni i przeciw temu nikt nie może protestować.” Inna rzecz, że najczęściej rozwiedzony małżonek jakoś nie długo cieszy się swobodą, zwłaszcza gdy nie zaopatrył odpowiednio swej porzuconej rodziny, ginie bowiem najczęściej na jaką nieznaną chorobę, przypuszczalnie truje go rodzina uwiedziona. Takich wypadków o dziwo, prawo nie ściga.

Okaza

AWANGARDA KOLUMNA MŁODYCH

Szlakiem Mickiewicza

Wjechaliśmy w ciemny las. Po bokach szerokiego gościńca stały dumnie wysokie świerki. Ziemię otulał cichy sierpniowy szmerch i nad korony drzew zwolna wpyływał księżyc. W autobusie panowała absolutna cisza. Ale nie zwykła senna cisza, tylko skupione milczenie. Mieliśmy wrażenie, że wchodzimy do olbrzymiej świątyni, w której panuje duch Wieszcza. Zdawało się, że widzimy Jego jadącego przez ten las — siedzi otulony w szeroki płaszcz i pogrążony w zadumie... a serce Jego pełne bezmiernej miłości ku tym polom i lasom ojezystym. I stawał się nam tak bardzo bliski i drogi przez to wielkie swoje miłowanie. A w duszach nam się rozspiewały czarodziejskie rymy ballad... Wiem motor zawarczał głucho i stanął. Nie zwróciliśmy prawie na to uwagi, aż ktoś krzyknął: „To lubię” — i autobus potoczył się dalej. Wreszcie zabłyśły światła Nowogródka...

Następnego dnia rano udaliśmy się przede wszystkim do parafialnego kościoła, w którym kiedyś święconą wodą zlaną główkę małego Adama. Biały kościółek z obszernym zielonym cmentarzem... Stamtąd przewodnik poprowadził nas do domu rodzinnego Mickiewicza. W ulicach, obramowanych sadami spośród których wychylały się przeważnie białe domki, panował spokój. Tam jeszcze nie dotarł hałas i pośpiech XX. wieku. Tak samo pewno wyglądało to miasto przed stu laty. O drodze oglądaliśmy modrzewiowy dworek, pociemniały już i pochyłony, pamiętający jeszcze czasy, gdy na jego ganek skupiały się postacie z sumiastym wąsem i krzywą karabelą u boku...

Wreszcie — dom Wieszcza: obszerne podwórze, porośnięte trawą i biały domek. Dom to wprawdzie nowy, bo stary spłonął, ale tuż obok stoi oficyna — też biała — w której właśnie mieszkał Mickiewicz, będąc pacholciem. W kofcu dziedzińca rośnie ogromne stare drzewo, a pod nim zmruszała ławka. Parkan dookoła stary, podtrzymywany przez wyszczerbione kamienne słupy. I znów się wydaje, że oto oparty plecami o jeden z tych słupów stoi Mickiewicz i patrzy smutnymi oczyma w szafir nieba, pokryty milionami gwiazd, i chce tam — w górze — wyczytać przyszłość swojej biednej Ojczyzny...

W domu mieszkają jacyś obcy, ale w małych trzech pokojach oficynki mieści się zbiór wszelkich pamiątek po naszym Wielkim Poecie. Stąpamy ostrożnie, bo trudno się poruszać wśród nagromadzonych książek, listów i t. d., i rozmawiamy szeptem. Pod szkłem leżą własnoręcznie przez Wieszcza pisane listy i wiersze. Atrament stał się szaro — nieokreślonego koloru, a papier wygląda, jakby się miał rozpysać za lada dotknięciem. A robi to tak dziwne wrażenie — te słowa pisane przed wiekiem... Oto jest potęgą ducha — człowiek szczył, niema go, ale myśli jego zostały i patrzą na nas wy-

blakłymi oczyma z poza szyby. Obok leży szal Marylki Wereszczakówny, taki zwykły kremowy w drobne różyczki...

Pokazywała nam to wszystko i tłumaczyła jedna z pań z „komitetu Mickiewicza w Nowogródku”. Komitet ten ma za zadanie utworzyć muzeum Mickiewicza, które się pomieści w Jego domu. Tymczasem wszystko składa się w oficynie, a komitet toczy spór z mieszkańcami większego domu, którzy nie chcą zwolnić lokalu. Komitet jednak nie traci nadziei, że sprawę wygra.

W większym pokoju w oficynie charakterystyczny jest ogromny kamień, który wystaje z podłogi. Dla niewiadomych przyczyn nie usunięto go przy budowie, lecz deski podłogi są ułożone dookoła.

Przewodnik nagli do pośpiechu, więc z żalem opuszczamy już to miejsce. Oglądamy jeszcze drugi kościół, co stoi z miasiem prawie, na górze. Ten jest z czerwonej cegły, i w nim podobno brał ślub Jagiello z drugą swą żoną, Zofią. Naprzeciw tego kościoła na takiej stromej górze wznoszą się ruiny zamku, a jeszcze dalej — kopiec Mickiewicza. Szczerze mó-

Wanda Ihnatowiczówna

Interpelacja

W przedświąteczny rozgardiasz, w pracowite dni wlażała ta sprawa i siłą rzeczy musiała być usunięta energicznym ruchem — w stronę.

Może ten ruch był zbyt energiczny i odrzucił to wszystko za daleko, bo oto dopiero teraz, jak coś zadawnione, zasuszone i potrosze zapomniane — wylania się znów.

Chodzi o artykuł p. Maksymiliana Cieszkowskiego (patrz „Nasze Życie” Nr. 118). Artykuł, którego nie można było nie zauważyć nawet oczyma wpatrzonymi w inne sprawy. Zanotowało się więc go sobie gdzieś w myślach, a wnikanie w sedno rzeczy i inne subtelności — odłożyło się do stosowniejszej chwili.

Bo naprawdę ni stąd ni z owąd wypełza w tych „reminiscencjach” zagadnienie, zapoczątkowane stwierdzeniem „prawdy” (raczej już — komunału), że „światem rządzą kobiety”.

Rządzą. Uśmiechem, spojrzieniami. No tak — miłe rządy i całkiem nieszkodliwe.

Przechodząc ponad tymi „rządami” do porządku dziennego, docieramy do następnego twierdzenia autora, że mianowicie kobieta nie tylko dorównuje mężczyźnie intelektualnie, ale czasem prześciga go nawet.

W tym miejscu można naprawdę zatriumfować! Bo przecież to nie dawniej,

więc, nie wiedziałam, że jest taki kopiec, niezbyt zresztą wysoki. Ze szczytu tego kopca oczom ukazuje się bajeczny krajobraz — pogórki, pokryte, „... zbożem rozmaitym, wylaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem, gdzie bursztynowy świeczkop, gryka jak śnieg biała, gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała...”, a wszystko skąpane radośnie w gorących promieniach słońca. Tu dopiero rozumiemy, skąd poeta wziął te śliczne opisy przyrody i dlaczemu tak gorąco umiłował tę ziemię, te wspaniałe różnobarwne pagórki płynące aż pod blade — niebieską linię horyzontu. A opisał to w tak prostych słowach i tak jasnych, jak te pola. On wiedział, że prawdziwego zachwytu nad pięknem natury nie można wyśpiewać w dzwoniących i jaskrawych wyrazach, bo byśmy otrzymali tylko rażącymi farbami wymalowany pejzaż, od którego bołą oczy.

Ostatnim etapem wycieczki było jezioro Świtez. Po słonecznym poranku, popołudnie było pochmurne i szare. Jezioro leżało ponure w obramowaniu ciemnych bagnistych lasów i wyrzucało spienione fale na brzeg. Pagoda widocznie zastawiała się do tego, aby dać nam prawdziwy, wyraz tego smutnego jeziora z ballady.

Powrotna droga zeszała na uporządkowaniu i przeżyciu raz jeszcze odniesionych wrażeń.

Wanda T.

niż parę lat temu w tej samej „Awangardzie” był artykuł, krzyczący wielkim głosem, że samodzielną kobietę to frazes, że kobieta wymaga, żeby mężczyzna za nią myślał, nie mówiąc już o czynnościach, które ten biedny mężczyzna musi spełniać — „za kobietę” etc. i t. d.

I raptem taki sukces!

No wprawdzie, gdy się dochodzi do przykładów, to zaraz wszystko zaczyna błędnać i traci na sile.

Autor stwierdza, że czołowe miejsca w literaturze polskiej zajmują kobiety. Nie można zaprotestować, iż Maria Dąbrowska znalazła się w wyliczeniu przed Kossak-Szezucką, albowiem nie ma jeszcze wag, któreby precyzyjnie odważały wartość i sławę autora. Zaś takie czy inne uszeregowanie jest wynikiem pewnych subiektywnych mniej lub więcej przesłanek.

Lecz gdy wkraczamy na „własne podwórko” robi się naprawdę śmiesznie.

P. Olga Dąksztówna — poetka indywidualność znana i uznana. A cóż robią te inne nazwiska — Łukjańska, Tomaszewiczówna, Ihnatowiczówna — tak śmiesznie blisko umieszczone?

Twórczość i pisanie.

Pani Dąksztówna ze swoją twórczością stoi na tym samym poziomie, na którym stoi pisanie Ihnatowiczówny?

(Dokończenie na str. 16)

Z życia Związku Polskiej Młodzieży w Łotwie

Rezekne

Z TEATRZYKU KUKIELEK FILII REZKENSkiej ZPM. Jak ciesząca zostaje ta praca raz wszczęta, gdy po swym wykiełkowaniu nie zamrze, jak często 1000 i jedna inicjatywa chuchana i pielęgnowana w niedzielę — w poniedziałek już trup!

Praca kukielkowa w ZPM rozwija się. Jest żywcem i jest potrzebna.

W niedzielę 4-go b. r. zespół filii rezekneńskiej odbył z kolei już 3-cie swe przedstawienie dające nowy program dla dziatwy z bajką „Historia cała o niebieskich migdałach”.

Pomijając już urobione powodzenie przedstawień wypada tylko dorzucić kilka słów o wykonaniu.

Udała się mała Stasia. Mróz i kudłacz bury. Udała się reszta. Ruszaniem może psowaliśmy drobinki, ale to przecie przedzie jak zrozumiemy co w trawie piszczy.

Przyszykowała bajkę p. Rudziowa. W dalszym ciągu zespół wybiera się do Fejman albo do Łudzy ale tam podobno z otrzymaniem lokalu idzie tak łatwo jak w Rezekne z wyproszeniem do domu dzieci po przedstawieniu.

Po przedstawieniu odbyła się zabawa taneczna. Miły bufet pod parasolem, który jak fama głosi został sprowadzony, aż z Daugawpilsu, dużo lemionki i ciastek wynagrodził tym wszystkim roztańczonym i kwaśnym, że to było tylko do 12-jej. (x)

KUKIEŁKI W CZERWONYM ŚWIETLE. Na małą kurtynę patrzący w niecierpliwym oczekiwaniu nie tylko oczy zebranych na sali dzieci, ale i dorosłych. Każdy z widzów pragnął dowiedzieć się czym prędzej, gdzie się ukrywają te „niebieskie migdały”, o których tak często się słyszy. Ale po dwu godzinach śledzenia uciążliwej podróży małej Stasi dowiedzieliśmy się, że to wszystko był tylko — sen. Snać więc są wszelkie dążenia do złagodzenia nędzy ludzkiej... Było nam trochę smutno... Wkrótce jednak dzięki pierwszemu walca rozwiły te chmury smutne i zgromadzeni oddali się bez troski zabawie. Na sali i w przyległym pokoju zamienionym na bufet — buduar, żarówka,

owinięte w bajecznie czerwona bibułkę, rzuciły fantastyczne światło na twarze gości. Różnobarwne kotyllony składały się na uzupełnienie tego niecodziennego obrazu.

Należy zaznaczyć, że zespół teatru kukielkowego naszej filii wykazał wielki postęp tym razem. Szczególniej wyróżniały się głosy Stasi i Króla Mroźów budząc powszechne uznanie. P. Rudziowa zaś wykazała dużo pomysłowości w urządzeniu wieczornicy i dużo energii.

Życzę na przyszłość równie pomyslnego rozwoju naszym „kukielkom”. W. T.

Daugawpils

Daugawpilski teatrzyk szykuje też w bliższym czasie powtórzenie któregośkolwiek swego programu.

Premiera w końcu maja — „Spriditis” z lotewskiego.

Z życia „Reduty”

REDUTA MISTRZEM ŁOTWY W PING-PON-G’U DLA ZESPOŁÓW PAŃ. Reducianki pp. Z. Cawro i Wer. Wasilewska, po zwycięstwie nad zespołami ryskimi i daugawpilskimi w ub. niedzielę, w finałowym spotkaniu z tukumskim Makkabi, po długiej i zaciętej walce odniosły zwycięstwo w stosunku 3:1, zdobywając tytuł mistrza Łotwy.

WYNIKI TECHNICZNE: REDUTA—MAKKA-BI. Wer. Wasilewska — Beker 14:21, 18:21. Z. Cawro — Rozenberg 21:18, 21:23, 21:19. Z. Cawro, Wer. Wasilewska — Rozenberg, Beker 21:18, 21:18. Z. Cawro — Beker 21:10, 21:18. R-K.

REDUTA-SPARTA

W ubiegłą sobotę i niedzielę bawili w Rydze sportowcy polscy z Kowna w liczbie 19, członkowie polskiego klubu sportowego „Sparta”. „Sparta” była gościem „Reduty”. W czasie pobytu odbyły

RODACY! PATRZCIE W PRZYSZŁOŚĆ TRZEŻWO, byśmy mogli zawczasu, w latach młodości i zdrowia, pomyśleć i zabezpieczyć się na wypadek straszliwej śmierci, która zawsze spada na nas niespodzianie, a naszym bliskim sprawia wiele kłopotu i zmartwienia. Ulżyć temu możemy zapisując się do Polskiej Kasy Pogrzebowej, która przyjdzie z pomocą każdemu, kto zawczasu myśli o zmniejszeniu stopnia nieszczęścia, które śmierć sprawia naszym bliznim.

Zarząd P. K. P. przyjmuje nowych członków (warunki w „Naszym Życiu” Nr. 11) i członkowskie opłaty w Domu Polskim (Ryga, ul. Dzirnawu 46) od 12,30 do 14 w niedziele: 2 maja, 6 czerwca, 5 września, 3 października, 14 listopada i 5 grudnia 1937 r.

Oprócz tego prezes p. N. Malinowski przyjmuje w sprawach P. K. P. codziennie od godz. 15 do 17: adr.: Mezaparks, Meza prosp. Nr. 72, autobus Nr. 22 (do ulicy Stendera).

Skarbnik p. W. Granatek przyjmuje po godz. 17 przy ul. Nometniu 39 — 7. Tramwaj Nr. 8.

się mecze treningowe sportowców kowieńskich i gospodarzami — w siatkówce i koszykówce. W dwu spotkaniach zwyciężyła Reduta, w trzecim (siatkówka pań) zwycięstwo przypadło gościom. Niżej podajemy wyniki rozgrywek treningowych.

SIATKÓWKA PANÓW. Spotkanie panów w siatkówce zakończyło się zwycięstwem Reduty. Już od początku daje się zauważyć znaczną przewagę techniczną gospodarzy, kończą oni bez trudności pierwszego seta na swą korzyść w stosunku 15:4. W drugim zaś secie gra równorzędna, jednak większa rutyna i pewność siebie zapewnia Reducie wygranę seta 15:13 i meczu 2:0.

Skład drużyny Sparty: Służwiński, Dowgirt, Tulewicz, Szuchna, Rutkowski, Mackiewicz.

Skład drużyny Reduty: A. Grodel, W. Mierzwiński, W. Cawnia, J. Bugniusz, E. Grodel, E. Pdan.

SIATKÓWKA PAŃ. Spotkanie pań w siatkówce zakończyło się zwycięstwem Sparty w stosunku 2:0. Pierwszy set upływa pod znakiem gry równorzędnej, lecz pomimo to Sparta zdobywając znaczną ilość punktów na serwach zwycięża w stosunku 15:5. Nie powodzi się Reducie i w drugim secie, gra ona znacznie energiczniej niż w pierwszym, jednak nie mogąc rozwinąć się w pełni, ponieważ mecz odbywa się w stosunkowo nie dużej sali, oddaje zwycięstwo seta 16:14, a razem spotkania 2:0. Skład drużyny Sparty: Syrunowiczowa, Garszwówna, Holownianka, Pączkowska, Juszkiewiczówna, Czapkowska.

Skład drużyny Reduty: Kaszewska, Oszmiana, Radzewicz, Kurszyć, Stiebrówna, Dukalska.

KOSZYKÓWKA PANÓW. Koszykarze Reduty w spotkaniu ze Spartą odnieśli zasłużone zwycięstwo w stosunku 46:26 (27:12). Początkowo gra chaotyczna, kombinacje mało wartościowe, stopniowo jednak zarysowuje się przewaga Reduty, zwycięża ona w pierwszym polowie w stosunku 27:12. Po przerwie Reduta od razu zaczyna pomysłnie atakować i spycha Spartę coraz bardziej do defenzywy kończąc mecz na swą korzyść w stosunku 46:26. Pomimo zwycięstwa Reduciarze nie mogli w pełni rozwinąć gry ponieważ sala była stosunkowo nie duża, powodziło się jedynie Krupczasowi w rzutach. Skład drużyny i zdobyte punkty Sparty: Butrymowicz 15 p., Dowgirt 7 p., Domański 3 p., Michałowski 1 p., Górski 0 p.

Skład drużyny Reduty: Fr. Krupczas 21 p., J. Bugniusz 10 p., W. Mierzwiński 8 p., B. Karmaz 5 p., Cawnia 2 p.

Nowa pisownia polska w szkołach

Kierownik referatu do polskich spraw oświatowych przy ministerstwie Oświaty R. Ciesulewicz podaje do wiadomości przelożonych szkół polskich, że w przyszłym roku szkolnym (1937-38) nauczanie języka polskiego w szkołach polskich powinno się odbywać według zasad nowej pisowni polskiej.

Powyższa decyzja została zaaprobowana przez Ministra Oświaty prof. A. Tontellia, któremu było przedstawione niezbędne Wyjaśnienia co do zmian pisowni polskiej.

Interpelacja

(Dokończenie ze str. 15)

A może to się dzieje przypadkiem, tak jak „przypadkiem wybrane” zostały te nazwiska? —

O logiko męska!

O człowieku, który zaczepiasz i drażnisz i schlebiasz!

Przegalopowałeś się jednak. Nie rozgrzesza cię nawet nawias, że „wyżej wymienione z wyjątkiem Olgi Dauksztówny do kategorii początkujących autorerek należą”.

Nie daruję ci tego, że Pani Dauksztówna zablakowała się wśród tych nazwisk i tkwi niby nigdy nie.

Ona — moja nauczycielka — poprostu ze szkoły i mistrz niejako pod względem władania piórem.

Protestuję! —

Jakieś kuszenie, wyzwanie, jakieś chytre intencje wyglądają z każdego niemal wiersza felietonu p. Cieszkowskiego. A wszystko — nie wiedzieć czemu pokrywa niczem czapka okropnie długie i mądre słowo — reminiscencje.

O cóż w nich chodzi tak naprawdę?

Bo że kuszą, zaczepiają i budzą protest — to pewna.

Jakieś wyzwania. Mężczyznom. Żeby można było powiedzieć, że i wśród nich są „początkujący autorzy”.

Czym — że ich kusisz?

Owszem, czemu nie, piszmy artykuł na zadany temat. Piszmy nowelę czy cokolwiek bądź, ale nie nazywajmy pisania twórczością i nie zapraszajmy Olgi Dauksztówny do naszego konkursu.

Ciekawa jestem, czy odezwie się jaki głos męski na wezwanie p. Cieszkowskiego.

Chciałoby po to, żeby przypomnieć i męskie nazwiska, które figurowały w jedynym piśmie polskim na Łotwie.

Co się stało z piórami panów: Jasionowicza, Mozalewskiego, Massana, Tomaszewicza, Surdeki i innych, których nazwisk w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć.

Czyżby ich zamilknięcie było grzecznym ustąpieniem placu dla próby piór żeńskich?

Zmieścimy się. Zapewniamy i zapraszamy uprzejmie. —

Chciałabym o czym innym, z poza siebie, gdzieś z ubocza coś wydobyć i wlepić jeszcze w ten artykuł. Ale zasuszona i zdawało się — nieszkodliwa już całkiem sprawa — ten „kobięcy temat”, ni stąd ni z owąd wypęzły na wiosenne słońce, kładzie na te blaski niepokojące cienie.

Jednak irytuje ten panegiryk p. Cieszkowskiego, wychwalający kobiety. Irytuje pytania rzucone niewiadomo komu: „Kobieta — wiesz? Tytan?” —

I to wszystko z tej jednej przyczyny, że w gazecie naszej królują nazwiska kobiece.

Czyż nie za drobna to racja, żeby z tego powodu robić kobietę tytanem.

Dziwna zaiste jest logika męska.

W. Ilnatowiczówna.

Daugawpils, w kwietniu 1937.

Z „Promienia”



Staraniem Stowarzyszenia Polsko-Katolickiej Młodzieży „Promień” filii Daugawpilskiej w dniu 16 marca r. b. w teatrze kolejowym odbyła się Akademia ku czci Męki Pańskiej z następującym programem:

Zagajenie — Ks. J. Putan,
Referat o Męce Pańskiej — Ks. J. Buturowicz.

„Judasza Iskariota” (dramat. religijny w 6 odsłonach).

Pomimo okropnych roztopów, publiczności było dużo.

Akademii zaszczytliwi swoją obecnością Państwo Konsulstwo Buynowszczy.

Na zdjęciu grupa uczestników akademii ku czci Męki Pańskiej, zorganizowanej przez daugawpilski „Promień”.

W środku konsul RP. w Daugawpilsie — T. Buynowski z Małżonką.

Kronika harcerska

86 ZWIEDZA MLECZARNIĘ. — Wieczór niedzielny zaskoczył późnionych przechodniów miasta widowiskiem, jak na czas wczesnej wiosny, niedzielnym. Mianowicie oddziałem, składającym się z blisko 50-ciu zamorusanych, małych chłopaków i dużych, majestatycznie kroczących dryblasów. Oddział ten owiany wiatrem zbrzydzany błotem kroczył środkiem ulicy Gertrudzie aż znikł w bramie pod inicjałem L. P. C. S. (Latvijas pensaimniecibas centrāla savienība). Nikt chyba się nie domyślił, że to 86-tka wybrała się na oględziny największej

mleczarni lotewskiej. Co, jak ile i czego się tam dowiedziała brać harcerska, jest tajemnicą jej tylko wiadomą. Faktem zaś jest, iż uprzejmość i gościnność pana kierownika była tak bezgraniczna, że przeladowane mądrością głowy i mlekiem zbyt obciążone żołądki druchów były tak ciężkie iż drogę powrotną odbyli krocząc z godnością. Za gościnność, za przyjemnie i pożytecznie spędzone chwile druchowie 86-tki przesyłają Panu Kierownikowi serdeczne Czuwaj!

Bonzo.

W salinach wielickich

(Dokończenie ze str. 13.)

czterech stron, wieri otwór świdrem, obracany w młotku wiertnicznym; otwór ten napełnia materiałem wybuchowym — i odpala... Potem już tylko robotnicy ładują sól do wagoników, przewożą na windy — i na powierzchnię.

— Pokażcie, jak badacie, czy nie grozi wam niebezpieczeństwo gazów? — zapytuje inżynier, sprawdzając, czy górnik nie lekceważy obowiązków ostrożności.

— Niby metanu?

— Tak, metanu.

Robotnik sięga po małą lampkę, palącą się spokojnym płomykiem, przysuwa ją do ściany, przy której pracuje, i powolutku, uważnie, wodzi nią od dołu do góry, po bokach, przez środek, wszędzie — i patrzy na płomyk: jeżeli płomyk podnosi się do góry, to ostrzeżenie, że w przodku są gazy. Wtenczas trzeba alarmować sztygara. To się zdarza rzadko, ale codziennie, na początku i przy końcu szychty, trzeba tak badać. A prócz tego, jeszcze jedno: karbidówka musi być w odległości 4 metrów od przodka, bo inaczej grozi niebezpieczeństwo wybuchu...

Eksploatacja soli nie odbywa się jednak tylko w podziemiach kopalni. Aby mieć pełne wyobrażenie o produkcji soli, trzeba wrócić do wież ługowniczych, gdzie zsypuje się całe wagoniki „kubków” — tych bezużytecznych części z rozbitych płonnych skał, które przetapiane są na solankę. Jest w tym ciekawy paradoks: z pogardliwie odrzucanego przez górnika materiału, nazywanego „szpetnym”, powstaje sól znacznie droższa od kopalnianej — ta najlepsza stolowa...

Musimy jednak przejść do warzelni, do zabudowań na powierzchni, z dala od szybu Daniłowicza, gdzie znajduje się oczyszczalnia solanki, doprowadzanej rurociągami z kopalni. Po oczyszczeniu solanki z siarczanu wapnia przeprowadza się ją do zbiorników warzelniczych, skąd przechodzi przez kilka klarownic, zagrzewaczy i aparatów wyparnych. Gotując się, solanka zaczyna się krystalizować, sól opada na dno aparatu, zakończo-

nego jajowato, stąd spada do mieszaka pod aparatem, a następnie przeprowadzona zostaje na wirówkę, gdzie ulega „odwirowaniu” do 4 pet wilgotci, po czym transporterami odprowadza się ją do suszni, a z suszni — już zupełnie sucha — idzie podnośnikami kubelkowymi do pakowni, jako śliczna, biała sól...

Gdy po zwiedzeniu salin usiadzie się przy stole do obiadu, a w pewnej chwili sięgnie się do miniaturowej solniczki po szczyptę soli — zdaje się, że sól ta ma inny smak niż dotychczas... Mimo woli budzi się wspomnienie nieprzenikniętych ciemności w labiryncie podziemnych chodników i komór, gdzie nieprzerwanie, dzień i noc, trwa praca górnika, zmagającego się z wrębiarką przy wątym świetle karbidówki...

Kromer podaje rok 1253 jako datę założenia a raczej odkrycia kopalni soli w Wieliczce. A właściwie saliny istniały wcześniej.

Dzisiaj kopalnia wielicka jest jedną z największych salin na świecie.

Władysław Śledziński.

Uwagze członków Chóru Maturzystów

W niedzielę, dn. 11-go kwietnia b. r. odbędzie się nadzwyczajna próba Chóru o godz. 17-tej po południu w Domu Polskim. Uprasza się wszystkich członków, bez wyjątku, o obowiązkowe punktualne stawienie się, ze względu na to, iż ta próba będzie decydująca co do naszego występu.

TRIUMF SPORTOWCÓW POLSKICH WE FRANCJI

Emigracja nasza we Francji przeżyła w ubiegłym tygodniu prawdziwie wielkie dni. Z pewną lekliwością witany, z otawy o wynik, przyjazd do Francji piłkarskiej reprezentacji Polski dał w rezultacie wspaniały sukces, mający niewątpliwie wybitne znaczenie propagandowe, a przede wszystkim przyczynił się do dalszej konsolidacji Polonii — acno na duchu podniesionej przez rozgłos, jaki zdobyli piłkarze z kraju na terenie francuskim.

Nic w tym zresztą dziwnego, skoro polska drużyna piłkarska z góry została skazana przez całą niemal opinię publiczną na porażkę. Gdzieś niedziedzie, co prawda, ostrożniejsze pisma przestrzegały przed ową „niewiadomą” naogół jednak z żadną niespodzianką nie liczone się wcale. Totż w dniu pierwszego występu drużyny polskiej, która pod nazwą Polski Zachodniej spotkała się z zawodową reprezentacją Ligi Paryskiej, w szeregach której występują takie sławy, jak Hiden i Jordan (Austria) oraz Simonyi (Węgry), na wielkie trybuny Parc des Princes przybyło — jak na paryskie stosunki — bardzo niewiele, około 20 tysięcy widzów. Lecz ci fanatycy sportu piłkarskiego rozczarowali się jedynie w stosunku do grupy miejscowej. Polacy natomiast zaskoczyli widzów swymi umiejętnościami, wytrzymałością fizyczną, lojalnością w walce i wreszcie uzyskaniem zwycięstwem w stosunku 5:1, podczas gdy przewidywano wynik raczej wręcz przeciwny. Niespodzianka, jaką sprawili nasi piłkarze pewnym sobie Francuzom, była wręcz przygniatająca: aż przykrdo było patrzeć na zdenerwowanie i przynębienie kierowników piłkarstwa francuskiego, na zupełną rezygnację zwyciężonych graczy. Podkreślić natomiast muszę z całą lojalnością wysoce obiektywne zachowanie się publiczności, żywiołowym aplauzami darzącej zwycięski zespół Polski. Stwierdzić należy, iż nie tylko zresztą widzowie, szary tłum, osadzili należycie sukces Polaków — rhecny na zawodach przedstawiciel wiceministra sportu osadził przebieg zawodów i ocenił wyczyny drużyny polskiej krótkim zdaniem — „Wasza drużyna jest nadzwyczajna” — jeśli zaś chodzi o entuzjazm kolonii polskiej — ten dopiero pozwolił ocenić w całej pełni, jak bardzo drogie jest sercu każdego Polaka to wszystko, co choćby na odcinku najmniejszym reprezentuje godnie potęgę Polski.

Zupełnie odmienny już charakter nosiło spotkanie w Lens, rozegrane nazajutrz przez reprezentację Ligi Zachodniej z zespołem Polskiego Związku Piłki Nożnej we Francji. To nic, że wynik końcowy brzmiał 15:1, po obu stronach boiska grali przecież „nasi”, słabsi więc przywieśli naukę od mocniejszych, lecz wszyscy byli ożywieni tym samym duchem, też same serca były w pierśsiach obu zespołów, nie walczących, lecz istotnie grających jedynie ze sobą.

Efekt tych dwóch występów jest wysoce korzystny. Zupełnie dotąd lekceważony we Francji sport polski zdobył sobie tam obecnie mocną pozycję, a że chęć rewanżu będzie chyba dość silna, sądzić trzeba, iż pierwszy krok ku zbliżeniu tych dwóch krajów na pewno nie będzie ostatni.



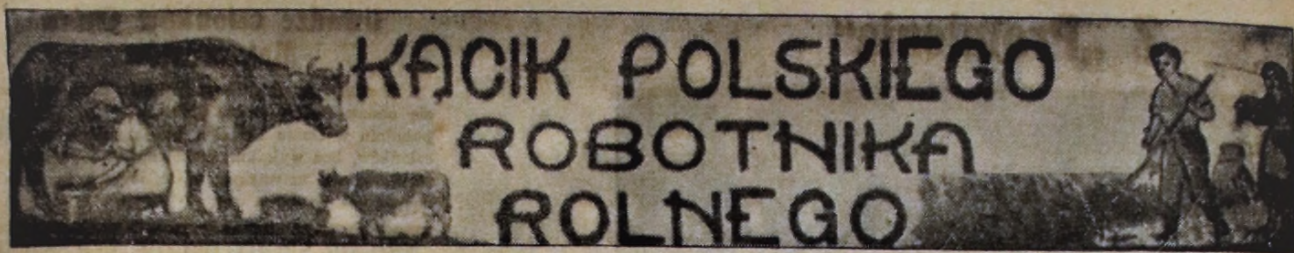
Kwiecień — ostatni miesiąc programu w Cyrku Salomon'skiego

z udziałem sławnych artystów-rewellersów

Występy znanego polskiego damskiego dżes-kwartetu „T-4”

W programie: polskie pieśni ludowe, dżes-pieśni, pieśni angielskie i francuskie.

Ceny biletów: w dniu powszednie (oprócz sobót) od Łs 0.50 — Łs 2.30.



Nasze odpowiedzi i porady

W. Dzieniszczyk — Dundaga. Podręcznika do pisania podań i listów w języku polskim w Rydze nie ma. Bliższych informacji co do wyjazdu do Francji redakcja nie posiada.

W. Ubski — Ulbroka. Towarzystwa Daugawa i jego operacji oszczędnościowych za pomocą zegarków — skarbonek nie znamy i żadnej opinii wydać o nim nie możemy. Myślimy jednak, że najlepszym i najpewniejszym sposobem składania pieniędzy — byłoby ulokowywanie ich w Polskim Stowarzyszeniu Pożyczkowo-Oszczędnościowym. Za całość umieszczonych tam pieniędzy można gwarantować. Adres: Riga, Dzirnau iela 40. Polu Kraj-aizdevu Sab-ba.

J. Korzeniowska w Łagaste i A. Maksimowicz w Trikata. Na zapytania ile złotych za przekazanego do Polski lata dostanie sezonowy robotnik polski Redakcja nie może dodać do udzielonych już wielokrotnie wyjaśnień. Na pytania te dażąc robotnikowi odpowiedź odnośnie biura pracy przy przekazywaniu pieniędzy. Ze swej strony możemy tylko powiedzieć, że robotnik polski pokrzywdzony nie będzie.

J. Saulewicz w Anna. Rezerwiści po przyjeździe do Łotwy powinni natychmiast zameldować swe książeczki wojskowe w Konsulacie Polskim i wtedy mogą zupełnie nie troszczyć się o terminach przeszkolenia wojskowego, zanim nie dostaną zawiadzenia z wykładkami zamieszkałych zagranicą robotników sezonowych nie wzywają na przeszkolenia.

P. Obara w Stiene. Termin na jaki ma być podpisany kontrakt całkowicie zależy od ugody między gospodarzem, a robotnikiem.

A. Kojrowicz w Kalnciems. Mamy wrażenie, że jedynie te przyczyny, o których Pan pisze nie mogą być powodem do zabronienia Panu powrotu na Łotwę.

A. Łabuń w Dzirciems. Mimo najszerszych chęci nie możemy w interesującej Pana sprawie dać jakiegoś wyjaśnienia gdyż nie posiadamy żadnych w tej mierze informacji. Pewni jednak jesteśmy, że jeśli Pan w grudniu wróci do Polski, to nie będzie jeszcze za późno na załatwienie tej sprawy.

A. Tokarewicz w Jaunpiebalga. Stanowczo musi Pan na czas wrócić do Polski, gdyż inaczej będzie Pan uważany za dezertera i srogo ukarany. Mieszkać w Łotwie z przeterminowanym paszportem nie wolno.

W. Jurczyk w Jaunswirlauka. Wyjazd sezonowego robotnika polskiego bezpo-

średnio z Łotwy do Francji na roboty jest niemożliwy. Można by to skutecznie tylko będąc w Polsce i uzyskując tam pozwolenie na wyjazd po uprzednim zaangażowaniu przez Konsulat lub agencję francuską.

St. Bładyko w Rosiba. Jeśli gospodarz i robotnik dobrowolnie ustalą wyższą niż 24 laty miesięcznie opłatę za pracę, nadwyżka ta może, a nawet musi być wpisana do kontraktu. Biuro pracy ma prawo odmówić na wpisanie tego w tym wypadku, jeśli robotnik zrywa zawartą już przez niego kontrakty z tego powodu, że inny gospodarz obiecuje więcej płacić.

J. Wilkoje w Lielrenda. Patrz odpowiedź p. Bładyko. Jeśli gospodarz nie wierzy, że nadwyżkę można wpisać do kontraktu, to niech o to spyta w biurze pracy. Jeśli i tego nie zechce — to widocznie nie ma zamiaru podnieść Panu płacę.

A. Sawlewicz w Pure. Oprócz zwykłych niedziel i dni świątecznych, ustalonych w Łotwie, robotnicy polscy mogą nie pracować 3 maja, 27 maja i 15 sierpnia. Odpowiedzi na resztę pytań znajdzie Pan wyżej.

I. Agrejcowicz w Zirni. Na noszenie w Łotwie uniformy i odznaczeń innych państw potrzebne jest pozwolenie władz

łotewskich. Z jakich powodów, mimo, jak Pan pisze złożenia potrzebnych dokumentów, władze celne na granicy polskiej zaważmogły od robotnika polskiego opłaty cła za wywożony z Łotwy rower — nie możemy tu ustalić. Widocznie coś nie było w porządku. Zresztą teraz, gdy cały zarobek robotnik może przekazywać do Polski — upada wszelka potrzeba i cel kupowania i wwożenia jakich bądź rzeczy.

P. Szymkiewicz w Kieczy. Bez podpisanej i zarejestrowanej w Biurze pracy umowy nie może Pan pracować u gospodarza, chociażby gospodarz i wydał Panu książeczkę przeznaczoną dla robotników miejscowych. Uprowadzamy, że tylko mając umowę (kontrakt), można będzie przekazać pieniądze do Polski.

B. Girsas — Zobe. Jak już niejednokrotnie pisaliśmy w naszych odpowiedziach informacje o tym ile złotych dostanie robotnik za przekazane do Polski łaty udziału robotnikom jedynie biuro pracy, przez które pieniądze przekazuje robotnik. Dopłaty do ustalonej gaży muszą być wpisane na str. 4-ej umowy (kontraktu) i biura pracy muszą wszystkie formalności w tej sprawie załatwić. Z bezpłatnych lub ulgowych ochronek dla dzieci robotnice polskie korzystać nie mogą.

P. Spiridon — Madona. Adres Pana zmieniliśmy. Prenumeratę ma Pan opłaconą do dnia 1-go lipca 1957 r.

Księgarnia G. Butkiewicza

Kr. Barona iela 14 (WEJŚCIE OD ELIZABETES) tel. 26273.

Poleca: rożnice, koronki, książki do nabożeństwa.

Baczność! Słownik łotewsko-polski

specjalnie napisany dla polskich robotników sezonowych, przybywających na roboty rolne do Łotwy.

Już przybywają robotnicy z Polski

Od 1 kwietnia weszła w życie nowa umowa polsko-łotewska w sprawie sezonowych robotników rolnych. Pierwsza partia przybyła do Łotwy we wtorek 6 b. m. We środę przybyła następna w liczbie około 1000 i tak dzień po dniu z wagonów wysypują się rzesze polskich robotników rolnych. Łotewska Izba Rolnicza przydziela robotników do poszczególnych gospodarstw. Z pierwszej partii większość udała się do Zemgali.

Gospodarstwa leżące w administracyjnych granicach miast nie mogą uzyskać zezwolenia na zatrudnienie robotnika zagranicznego, podobnie gospodarstwa w Latgalii. Nie wolno również zatrudniać zagranicznych robotników sezonowych poza rolnictwem.

Jeżeli nowoprzybyły robotnik nie jest

znany gospodarzowi, gospodarz powinien płacić wynagrodzenie oznaczone w umowie. Dopłatę w formie premii za dobrą pracę można wypłacać dopiero po odpracowaniu 3 miesięcy, albo też, jeżeli przybyły robotnik (robotnica) już raz odbył pracę według umowy zawiera kontrakt z gospodarzem, który go zna, jako sumiennego i dobrego pracownika.

Zofia Raginia, robotnica rolna, przebywająca w Łotwie od 1936 r., jest usilnie proszona o podanie do Redakcji swego dokładnego adresu.

Matka i rodzina niepokoją się.

Kto z koleżanek lub kolegów wie adres Zofii Raginia — prosimy podać do Redakcji.



SPRAWY GOSPODARCZE



Szkodliwość chwastów

Nasze pola uprawne nawiedzają rozmaite kłeski. Niektóre z nich, wyrządzające doraźnie wielkie szkody — jak gradobicia, powodzie, szkodniki i choroby występujące masowo i t. d. — nazywamy kłeskami żywiołowymi. Przychodzą one nieoczekiwanie, niezależnie od człowieka — i powodowane są jakby siłą wyższą. Lecz nasze pola uprawne trapi stała kłeska, z pewnością przynosząca rolnictwu nie mniejszą szkodę, niż kłeski żywiołowe — to chwasty. Powszechność chwastów i ich jakby stałe przebywanie na polach uprawnych sprawia, że rolnicy do tego zła przyzwyczaili się i nie zastanawiają się nadzkodami, które chwasty w polowych uprawach wyrządzają. Chwasty, to jakby złodziej domowy, który niepostrzeżenie okrada dobro gospodarza. Nie zdajemy sobie sprawy z rozmiaru szkód, wyrządzanych w gospodarce polowej przez chwasty.

Szkody wyrządzone przez chwasty są wielorakie. Przede wszystkim — chwasty, rosnąc pomiędzy uprawianymi roślinami i żywiąc się tymi samymi, co rośliny uprawne, składnikami pokarmowymi — okradają je z zasobów pokarmowych, zmniejszając znacznie możliwości ich wzrostu. Zauważyć trzeba, że chwasty polowe są naogół roślinami o większym wigorze życiowym, niż rośliny uprawne, konkurencja więc ich w polu jest bardzo szkodliwa. Np. stwierdzono, że niektóre chwasty zużywają znacznie więcej środków pokarmowych (proporcjonalnie do swej masy suchej), niż rośliny uprawne. Więcej przy silnym zasięgu w polu takich chwastów, mogą one bardzo znacznie uszczuplić możliwości pokarmowe roślin uprawnych. Następnie — chwasty są wybitnie szkodliwe w czasie posuchy, gdyż wyciągają z ziemi masę wilgoci, zmniejszając w ten sposób jej zapas dla roślin uprawnych. Dalej — szybko rosnące, liściaste chwasty, zacieniają i gęszą powoli rozwijające się roślinki uprawne. Przytem nie tylko zabierają od nich słońce, ale też wykradają młodym roślinkom najlepsze pokarmy i wilgoć. Poza tym wiele chwastów stanowi siedlisko rozmaitych chorób roślin uprawnych, jak również sprzyjają one rozpowszechnianiu się niektórych szkodliwych owadów. Są chwasty — jak kaniańka, dzwonię — paszetyjące bezpośrednio na roślinach, żyjące sokami roślin uprawnych. Wreszcie nasiona niektórych chwastów są trujące (kakol) i zmieszane z ziarnem zboża, obniżają jego wartość.

Wymienione ujemne skutki chwastów świadczą już o ich wielkiej szkodliwości. I dlatego walka z chwastami musi być stale i wytrwale w gospodarstwie prowadzona. Niestety walka ta nie jest u nas postawiona należycie. Przyczynia się do tego w znacznym stopniu nieświadomość

rolników co do życia i rozmnażania się chwastów. Całkiem słusznie zwraca się obecnie u nas uwagę na czystość nasion. Ale wydaje się, że ten sposób walki z chwastami jest zbyt przeceniany. Wszakże widzimy rezultaty: rolnik wysieje najczystsze nasienie — a pole ma opanowane przez chwasty; rolnik dziwi się temu, zapominając, czy nie wiedząc o tym, że sama gleba uprawna jest często siedliskiem wielkiej ilości nasion chwastów. Bo trzeba wiedzieć, że wiele chwastów wydaje ogromne ilości nasion. Np. jedna roślina gorczycy polnej potrafi wyprodukować około 20 tysięcy nasion. Nasiona wielu chwastów odznaczają się wielką odpornością i długotrwałością. Bez znacznej szkody dla siebie mogą one całymi latami przebywać z głębszych warstw ziemi i wydobyte na powierzchnię po kilku latach kiełkują i masowo napaśtują np. świerzępką, która czasem niewiedomo skąd się pojawia i opanowuje zasiane jarzyną pole, pomimo, że rolnik obsiał je oczyszczonym dobrze nasieniem.

Otóż trzeba zauważyć, że największą trudność w walce z chwastami sprawia ten fakt, że one dojrzewają szybciej od roślin uprawnych i rozsiewają swoje nasiona przed zbiorami. Stąd można obsiewać pole zupełnie czystym ziarnem przez szereg lat — a jednak mieć wielkie zachwaszczenie.

Takie trudności napotyka rolnik w walce z chwastami, tak zw. „nasiennymi”, które mnożą się przez nasiona. Ale są chwasty, niemniej uporezywe, które rozmnażają się przez rozłogi korzeniowe, jak np. perz, osty. Walka z tymi chwastami jest bodaj że jeszcze trudniejsza. Bo mnożą się one i przez nasiona i przez rozłogi. Np. takie osty posiadają ten podwójny sposób rozmnażania się.

Jest wiele zalecanych sposobów walki z chwastami. Nie będziemy ich tu teraz rozstrząsać. Chcemy zwrócić w okresie wiosennym uwagę na konieczność prowadzenia walki z chwastami w zasiewach jarzyn. Zajmiemy się najbardziej uporezywymi u nas chwastami: świerzępką, gorczycą i ostem.

Jeżeli chodzi o dwa pierwsze chwasty, to czas wiosennych upraw stwarza dobry moment do walki z nimi. Przy uprawach wiosennych (i letnich) wyciąga się z głębszych warstw ziemi nasionka tych chwastów na powierzchnię. Jeżeli roboty polowe są dobrze rozplanowane, to między uprawami wiosennymi jest czas, gdy wyciągnięte broną, czy sprężyną nasionka chwastów skiełkują i jako młode roślinki, przez dalszą uprawę będą zniszczone. Znaczna część ich skiełkuje jednak po wysiewie jarzyn, względnie razem z jarzynami. Jeżeli je pozostawimy, to one rozwiną się, dojrzeją i wysypią nasiona przed zbiorem zboża z pola — i zuwolu-

zachwaszczą pole na wiele lat. Nie trzeba więc do tego dopuścić, a starać się w możliwy sposób zniszczyć je, nim są młodziutkimi roślinkami. Otóż zalecać tu można następujące sposoby. Bronowanie jarych zasiewów lekkimi, a ostrymi bronkami. Młode roślinki świerzępy i gorczycy są słabo zakorzenione i łatwo bronka je powyciąga, niewiele szkodząc zbożu. Niestety rolnicy nasi nie posiadają odpowiednich do tego bron. Najlepszą będzie tu bronka Weedera, która też doskonale niszczy skorupkę na roli, następnie dobrze to mogą zrobić bronki tak zw. posiewne, najlepiej sześciopolowe. Bronki te niszczą również doskonale skorupę na roli. Bronować należy w dzień pogodny, w czasie południa, wtedy roślinki zbożowe są lekko przewiędłe i bronka lekka im mało szkodzi. Nie bronować wkrótce po deszczach i podczas dłuższej posuchy.

Bardzo skutecznym środkiem w walce z chwastami liściastymi (a więc i ze świerzępką) jest posypywanie pola azotniakiem pylistym. Azotniak działa zabójczo na delikatne listki chwastów, od czego roślinki te giną. Na rośliny zbożowe azotniak nie działa szkodliwie, gdyż pył jego nie zatrzymuje się na prostopadle stojących listkach np. owsa, jęczmienia. Tu jest jakby podwójny skutek azotniaku, gdyż niszczy chwasty i równocześnie zasila rolę w azot, który sprzyja silniejszemu wzrostowi zboża. Na polach zajętych świerzępką, czy gorczycą, sposób ten może okazać się bardzo skutecznym. Azotniak w tym celu wysypywać rankami, gdy stoi rosa.

Wreszcie podać tu można jeszcze obkaszanie wierzchołków chwastów, gdyż one znacznie nad zbożem górują. Również, przy mniejszym zasięgu zalecić można i ręczne ich wyrwanie, gdy zakwitną.

W stosunku do ostu zastosować należy koniecznie wyrwanie jego młodych pędów. Jest to zabieg nie uciążliwy, a bardzo skuteczny. Gdy jarzyna dobrze się zazieleni, obejść pole i gdy tylko stwierdzimy, że jest osset, to nie zwlekając wejść na pole z gromadą robotnika (może być do tej roboty użyta i dziatwa) — i idąc po polu obsianym szeregiem wpoprzek, wyrwać napotkany osset. Właściwie osset nie wyrwamy, lecz wyciągamy, starając się nie zerwać jego długiego korzenia. Bierzemy ręką pod liście ostu i powoli podciągamy do góry; po deszczu, gdy ziemia jest rozmiękła, daje się osset z łatwością wyciągać wraz z długim korzeniem. Gdy jest starszy i kłuje — to można użyć do tego tępego noża, lub rodzaju specjalnego dółka, którym podważamy rozetkę ostu i następnie wyciągamy z korzeniem. Robota ta zresztą daje doraźną korzyść, gdyż przeplukany osset stanowi doskonały karm.

Fantastyczna kariera Mikołaja Mikołajewicza Pereplotczykowa

Przy ul. Hipotecznej 5 w Warszawie mieszka p. Mikołaj Pereplotczykow, o którym krąży niezwykła legenda, zresztą wcale niedaleka prawdy. Legendę tę opisuje obszernie S. T. w ostatnim numerze „Merkuryusza Polskiego”.

Zył sobie przed laty w Moskwie niejaki Mikołaj Kiryłowicz-Pereplotczykow, który posiadał na Syberji „złotyje priiski”, czyli kopalnię złota. Umarł, gdy synek jego, także Mikołaj, miał cztery lata. Mikołajek dostał się w opiekę stryja, który nie szczędził na jego wychowanie. Gdy chłopczek już podrośł, stryj powiada doń:

— No, i co ty tak Misza ciągle w domu siedzisz? Moskwa święta, ale nudna. Jedź do Europy, pokaż się ludziom i zabaw się.

Mikołajek ruszył „w Jewropu” oczywiście nie bez gotówki i nie bez malej — bo z 2 milionami rubli. Wziął kurs na Warszawę, gdzie jego ojciec miał dużo znajomych, bo wiadomo Sybir — polskie kresy.

Szeroko rozpuścił „w Europie” kieszeń Mikołajek. Był zaledwie parę dni w Warszawie, a już stał się sławnym, bo płacił 500-rublowkami, nie żądając reszty. Dryndziarzowi za kurs — 5-setka. Kolacja w „Aleksadrinie”, kabarcie na placu Trzech Krzyży z aktorkami i szampanem — 5-setkach, kelnerowi napiwek 5-setka, w szatni za palto 5-setka. Gdy szedł ulicą, zanim sznur dorożek,

— I cóż wy tak braciszkwowie za mną jeździecie?

— Na usługi jasnie pana.

— A kiedy ja idę piechotą, spacerku chce użyć.

— Nie szkodzi, poczekamy.

— Poczeiwe wy dziatki — mówi Mikołaj — macie na piwo.

I wyciągnął z kieszeni paczkę pięćsetek: „Podzielicie się.”

Była też jeszcze i inna przyczyna sławy młodego gościa w Warszawie. Oto, podpiwszy w gronie przyjaciół, nabierał dziwnej ochoty: bił w mordę „gorodowych” (policjantów ruskich). Wyszedł, bywało z „Aquarium” (inny sławny kabaret na Chmielnej, gdzie dziś kino „Bałtyk”), napatoczył się „gorodowoj” — Pereplotczykow w ucho go. Gwałt, krzyk, a Pereplotczykow nic. „Ile wynosi „sztraf” — pyta — „za danie „gorodowomu” w mordę? „Trzy ruble.” „Na tobie pięćsetka.” Gorodowoj brał, salutował i Pereplotczykow szedł dalej, dopóki znowu nie trafił na gorodwoja.

Wkońcu wreszcie rozgniewało policmajstra poniewieranie jego gorodowymi, a że w dodatku w tym czasie na Kaukazie Stalin napadł na rządową kasę i zrabował coś 300.000 rubli — policmajster powziął podejrzenie, że to musi być któryś z paczki. Kazał wsadzić Mikołajka do więzienia na Daniłowiczowskiej.

Siedział tam coś tydzień aż do wyświetlenia sprawy swej tożsamości i nudził się. A najbardziej go męczyło, że nie było na co popatrzeć z okna. Wielki, pusty plac przed jego oknem. Po tygodniu wypuszczono go z honorami, a w trzy dni potem Pereplotczykow oparł coś pięciu

gorodowych i znowu siedział na Daniłowiczowskiej. Dziwnym trafem zamknęli go w tej samej celi. Mikołaj znowu cierpiał, spoglądając przez okno.

Gdy wyszedł z aresztu, udał się do warszawskiego architekta Kosowskiego.

— Pan jest taki, co buduje domy?

— Tak.

— No, to zbuduj pan dom tu na tym placu przed więzieniem.

— Jaki dom?

— A, to obojętne, taki, jaki się teraz buduje.

— Buduje się 5, 6-piętrowe...

— No to wal bracie 6-piętrowy. Nie żałuj pieniędzy, ile to wyniesie?

— Bo ja wiem. Zależy od ceny placu — czterysta, pięćset tysięcy rubli.

— Tak, masz tu pół miliona i wal bracie. Od jutra stawiaj dom.

Zabawił jeszcze Pereplotczykow jakiś czas w Warszawie i pojechał dalej, poczem wrócił do domu, objął firmę, rozwinął ją. Przyszła rewolucja. I pewnego dnia wielokrotny milioner musiał opuszczać ojczyznę jako nędzarz. Bolszewicy zrabowali mu kopalnię złota, pałac, konie wyścigowe, statki na Lenie, Jeniseju i Woldze.

Pewnego dnia, na ławce parku miejskiego w Szanghaju spoczął zmęczony człowiek. Był obdarty, głodny od niedojęcia niegolony... Zaczął przypominać sobie niedawną przeszłość.

— Ot! — westchnął smutnie — przydałaby się teraz garstka tego złota, com go płukał na Uralu...

Nagle uderzył się w czoło.

— Zaraz! — zmarszczył brwi — coś mi się majaczy, że ja kiedyś postawiłem dom w Warszawie! Ależ tak! Przypominam sobie. Rzeczywiście mam dom.

Zerwał się wzruszony i pobiegł szukać znajomych, co by mu pożyczili pieniądze na drogę...

W kilka tygodni potem, ubogo odziany emigrant pukał do drzwi architekta Kosowskiego, który przed laty budował dom młodemu trzpiotowi.

Architekt Kosowski okazał się nadwyrzaskupulatny i uczciwy. Administrował domem, a czynsz przechowywał w złocie. Pereplotczykow w ten sposób uratowany od nędzy prowadzi dzisiaj wcale komfortowe życie... Tak więc uratowało go to, że bił gorodowojów po mordzie...

Szczypta żartów

— Dlaczego Mojżesz przeprowadził żydów z Egiptu przez pustynię?

— Bo się wstydził z takim towarzystwem iść przez miasto.

* * *

Dlaczego bocian stoi na jednej nodze?

— Bo gdyby podniósł i drugą, toby się przewrócił.

* * *

Łaskawa pani, co łaska poproszę o kawałek chleba.

— Niech Pan Bóg opatrzy.

— A paniusie karetką pogotowia.

* * *

Zięć otrzymuje depeszę o śmierci teściowej z zapytaniem telegraficznym o rodzaj pogrzebu, a mianowicie: czy ją zabalsamować, spalić w krematorium, czy też poprostu pogrzebać na cmentarzu. Zięć depeszuje w następujący sposób: „Najpierw zabalsamować, potem spalić, popiół zakopać do ziemi, to będzie pewniej”.

* * *

Nauczyciel: — Przypuścimy, że twój ojciec kupił na kredyt w sklepie towarów raz na sto złotych, a drugi raz na dwadzieścia pięć. Ile będzie razem dłużny?

Uczeń: — Sto pięćdziesiąt.

Nauczyciel: — Dlaczego sto pięćdziesiąt?

Uczeń: — Ja znam mojego ojca i doliczyłem odrazu kosztą sądową.

* * *

Kobieta tonie w rzecze. Stojący na brzegu marynarze rzucają jej pas ratunkowy.

— Inny pas! Inny pas! — woła tonąca — w białym mi nie do twarzy.

* * *

— Patrz, to moja fotografia z lat dziecińczych.

— Co? Już wtedy byłeś лысы?

— Nie podobnego! Trzymasz fotografię do góry nogami.

* * *

Na terenie Hiszpanii walczą obecnie na obu stronach dziesiątki tysięcy Niemców, Włochów i Rosjan. Liczba ich zwiększa się z każdym dniem.

Podobno, jeśli tak dalej pójdzie, Liga ma zwrócić się do Hiszpanów z żądaniem zachowania zasady nieinterwencji wobec osobistych porachunków włosko-niemiecko-sowieckich.

* * *

— Co to? Myjesz nogi, nie zdjawszy skarpetek!

— Tak. Bo woda bardzo zimna...

* * *

— Kawa to strasznie głupi napój!

— Dlaczego?

— Najpierw ją się pali, żeby była czarna, potem dolewa się mleka, żeby była biała, miesza się z cykorią, żeby była gorzka i dodaje się cukru, by ją osłodzić. Wreszcie grzeje się ją, żeby była gorąca, a potem dmucha, żeby ostygła!

— ...! ...!

— Kichnąłem i obudziłem stróża nocnego.

* * *

— Czy wierzysz w wędrówkę dusz?

— A tak. Mielibyśmy takiego kasjera, który z ciekli z całą kasą!

— A cóż to ma wspólnego z wędrówką dusz?

— Ależ on był duszą naszej spółki.

* * *

Napoleon, jako konsul jeszcze, brał udział w poświęceniu nowego mostu na Sekwanie. Opro-wadzał go pewien prefekt, którego śmiałość i żupeł podrażniły przyszłego cesarza. By go wyprowadzić z równowagi Napoleon zadawał mu bezsensowne pytania:

— Ponieważ pan — zdaje się — wie wszystko, może mi pan powie: ile ptaków przebyło dzisiaj przez most?

— Jeden orzeł, panie konsulu — odparł prefekt bez zająknięcia.

Jako cesarz, Napoleon przypomniał sobie tego prefekta, który później szybko awansował.

* * *

Gdy Voltaire przebywał w Anglii, nie darzo-no tam Francuzów sympatją. Pewnego dnia otoczył go tłum. Rozległy się okrzyki: „Prawa nim!”, „Powiesić na latarni tego Francuza!” i t. p.

Voltaire wskoczył na jakiś wystający kawałek muru i krzyknął:

„Anglicy! Chcęcie mnie zabić, ponieważ jestem Francuzem! Czy nie dostatecznie zostałem ukarany tem, że nie jestem Anglikiem?”

Bezczelne to pochlebstwo sprawiło, że tłum wśród okrzyków „niech żyje!”, odprowadził Voltaire'a do domu.